NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 23 marca 1907. Nr. 12.

O cztery centy!

(Treść na stronie 10).



Zgon ministra-rodaka.

W ubiegłym tygodniu zeszedł ze świata mąż bardzo wybitny, przestało bić serce dzielne, zgasł umysł niepospolity, bystro i trafnie oceniający



Zgon ministra-rodaka: Śp. Herman baron Loebl, zmarły we Lwowie były minister dla Galicyi.

sprawy i potrzeby kraju, zmarł Herman baron Loebl. Mimo nazwiska o niemieckiem brzmieniu, szczery Polak, urodzony i wychowany w Galicyi, tu też spędził całe prawie swe życie.

Ś. p. Loebl, którego portret załączamy, urodził się w r. 1835 w Drohobyczu, a po skończeniu studyów akademickich na uniwersytecie we Lwowie, wstąpił do służby w namiestnictwie. Mianowany w r 1871 starostą, objął referat szkolnictwa ludowego w radzie szkolnej krajowej. W dwa lata później, jako radca namiestnictwa, mianowany został szefem biura prezydyalnego i na tem stanowisku pracował przez lat 10, z niezmiernym pożytkiem dla spraw kraju. W tym czasie otrzymał tytuł i charakter radcy dworu. Równocześnie z nominacyą Filipa Zaleskiego namiestnikiem Galicyi, śp. Herman Loebl został wiceprezydentem namiestnictwa i urząd ten sprawował do 1888 r., w którym cesarz powołał go na namiestnika Moraw. Nominacyę tę powitała bardzo sympatycznie nietylko prasa polska, ale i czeska i niemiecka. Jakkolwiek oddalony od kraju, śp. Loebl utrzymywał z nim zawsze ścisłe i serdeczne stosunki, to też po ustąpieniu ze stanowiska namiestnika Moraw witany był we Lwowie z objawami szczerej radości. We Lwowie usunął się w zacisze życia domowego, nie na długo jednak, bo w r. 1897 powołany został — już jako baron — do gabinetu bar. Gautscha na ministra bez teki. Kiedy gabinet ten w rok potem ustąpił, śp. Loebl mianowany został członkiem Izby Panów. Od tego czasu nie brał już udziału w życiu publicznem, lecz otoczony troskliwą opieką rodziny, w gronie najbliższych przyjaciół żył we Lwowie cicho, skromnie, nie objawiając nigdy żalu za godnościami. Zmarł w sędziwym wieku, osieracając troje dzieci.

Kraj stracił w śp. Loeblu znakomitego męża stanu i wiernego syna; cześć jego pamięci!

Zamordowanie prezydenta ministrów.

Możni tego świata znajdują się często w położeniu, którego by im nie pozazdrościł najnboższy, najwięcej przez los pokrzywdzony człowiek. Iluż to z pomiędzy monarchów, prezydentów rzeczypolitych, ministrów i. t. d. poniosło śmierć z ręki zbrodniczej przeważnie wówczas, gdy się im zdawało, że najlepiej dla dobra swej ojczyzny pracują!

I znów teraz znalazła się taka ofiara. Łatwo domyśleć się mogą Czytelnicy, iż mamy na myśli śmierć Dymitra Petkowa, bułgarskiego prezydenta ministrów, który kilka dni temu padł ofiarą skrytobójczego zamachu w Sofii.

Petkow był osobistością pod wieloma względami niepospolitą, pełną siły życiowej i energii, osobistością, jakie najczęściej spotyka się wśród narodów świeżo powołanych do życia politycznego.

Urodził się pięćdziesiąt lat temu, jako syn ubogiego wieśniaka w Dobrudży, należącej obecnie do Rumunii. Do szkół jakichkolwiek nigdy nie uczęszczał, kształcił się, o ile mógł, sam. Podczas wojny w 1877 walczył, jako ochotnik, w wojsku rosyjskiem i stracił wówczas lewą rękę przy obronie wąwozu Szypka. Wmieszawszy się w wir życia publicznego, stał się Petkow gorącym zwolennikiem Stambułowa i przejął się jego ideami politycznemi streszczającemi się: w utrzymaniu silnego rządu wewnątrz kraju, zachowywaniu poprawnych ale nie czułych stosunków względem Rosyi, oraz w dopuszczeniu wpływów kulturalnych z zagranicy do Bułgaryi.



Zamordowanie prezydenta ministrów: D. Petkow, zabity prezes gabinetu bułgarskiego.

Kilkakrotnie za czasów, gdy Stambułow był wszechwładnym o niemal panem swej ojczyzny, dzierżył on teki ministeryalne i sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i robót publicznych, był burmistrzem Sofii a wreszcie został premierem bułgarskim. Na tem stanowisku był Petkow głową frakcyi „stambułowistów", frakcyi, która dotąd jest najsilniejszą podporą tronu ks. Ferdynanda.

W obronie tego tronu zginął śmiercią prawdziwie męczeńską Stambułow, a teraz spotkało to samo jego przyjaciela i ucznia w szkole politycznego życia. I dziwna rzecz, że ks. Ferdynand, znany ze swych autokratycznych zakusów, nie był obecnym w swej stolicy ani wtedy, gdy zamordowano Stambułowa, ani teraz, gdy ten sam los spotkał Petkowa... Widocznie nie lubi on obok sie



Fot. W. Lis z Krakowa.

Odznaczenie żandarma: Na dziedzińcu kościelnym w Oświęcimiu, grupa uczestników uroczystości udekorowania żandarma Hupałowskiego,

bie ludzi, którzy umieją rządzić bez jego wskazówek, a umie się ich pozbyć.

Na podstawie skąpych wiadomości, nadchodzących z Sofii, a tyczących się niejakiego Petrowa, który wykonał zamach, można dotąd tyle tylko wnioskować, że został on poprostu wynajęty przez przeciwników premiera, którym jego rządy energiczne mocno się niepodobały, szczególniej w czasie stłumienia ostatniego strajku kolejowego.

Sensacyjnem jest doniesienie jednego z berlińskich dzienników, pochodzące z Sofii, wedle którego Petrow miał zeznać przed sędzią śledczym, że przed dwoma miesiącami bawił we Lwowie, gdzie poznał się z anarchistami, a gdzie miał zamiar poświęcić się studyom muzycznym. Z powodu braku pieniędzy powrócił do Wiednia, gdzie otrzymał posadę w pewnym banku. Po wydaleniu z tej posady, pojechał do Sofii razem z dwoma również oddalonymi urzędnikami. W Sofii brał udział w naradach młodych ludzi w redakcyi dziennika „Bałkańska Trybuna“, podczas których wyłonił się zamiar zamordowania Petkowa a Petrow podjął się wykonania tego planu.

Dalsze śledztwo sądowe — o tyle naturalnie, o ile nie zostanie zatuszowane w interesie tych, co kierowali ręką mordercy—wykaże ile jest prawdy w jego zeznaniach.

Odznaczenie żandarma.

We wrześniu ubiegłego roku w Białej dwóch opryszków zamordowało policyanta, który wykonując swe czynności urzędowe, zażądał legitymacyi od podejrzanych mu indywiduów. Zamiast okazania legitymacyi, ludzie ci natarli na policyanta i celnym strzałem z rewolweru położyli go trupem.

Szczegóły tej sprawy są naszym Czytelnikom znane — swego czasu podaliśmy bowiem dokładny opis wypadku. Pościg urządzony za zbrodniarzami został uwieńczony pomyślnym skutkiem — w kilka dni pochwycono obu w Oświęcimiu, dzięki energii i gorliwości policyanta z Oświęcimia Franciszka Zygmunta i żandarma Maksymiliana Hupałowskiego.

Zbrodniarze, stawieni przed sąd, otrzymali zasłużoną karę — jednego z nich skazano na karę śmierci, drugiego zaś na 7 lat więzienia. Organa zaś bezpieczeństwa publicznego, które z narażeniem własnego życia oddały w ręce sprawiedliwości złoczyńców, prócz wdzięczności ogółu zostały także zaszczycone uznaniem monarszem.



Fot. W. Lis.

Odznaczenie żandarma: Dekorowany srebrnym krzyżem zasługi żandarm w Oświęcimiu, Maksymilian Hupałowski.

Policyant Zygmunt i żandarm Hupałowski zostali odznaczeni srebrnemi krzyżami zasługi. Ubiegłej niedzieli (17 b. m) odbyła się w Oświęcimiu uroczystość dekorowania żandarma Hupałowskiego. Po wysłuchaniu uroczystej mszy, udała się licznie zgromadzona publiczność na dziedziniec kościelny, gdzie w obecności delegata starostwa w Białej komisarza Cwojdzińskiego, naczelnika sądu radcy Bibro, delegata rady powiatowej Antoniego Śmieszka, kierownika ekspozytury policyi komisarza Krzyżanowskiego, członków rady gminnej, towarzystwa weteranów wojskowych i innych korporacyj, porucznik żandarmeryi Sustr, po stosownem przemówieniu przypiął krzyż na piersi dzielnego stróża bezpieczeństwa publicznego.

Żandarmi, licznie na tę uroczystość przybyli, przedefilowali następnie w marszu frontowym przed odznaczonym kolegą, a gratulacye naczelników władz i obywateli oświęcimskich zakończyły tę piękną chwilę.

Rycina nasza przedstawia żandarma Hupałowskiego w otoczeniu uczestników uroczystości.

U wrót Dumy.

Wiadomo z dzienników, że w dniu otwarcia posiedzeń drugiego parlamentu rosyjskiego, na ulicach Petersburga, zwłaszcza w okolicy pałacu Taurydzkiego, odbywały się burzliwe demonstracye tłumów. Korzystano z przejazdu posłów do Dumy, żeby manifestować głośno objawy niezadowolenia z powodu wyboru posłów reakcyjnych w pewnych miejscowościach, to znów wznosić okrzyki radosne, na widok udających się na posiedzenie reprezentantów obozów skrajnych lub wogóle sympatycznych bojowników o wolność. Policya z trudem robiła porządek na ulicach, a oddziały ochrony Dumy rozpędzały tłumy z przed pałacu Taurydzkiego, przepuszczając tylko powozy wiozące posłów, lub dygnitarzy państwowych. Zadanie to nie było łatwe, gdy się zważy, że tłumy rozpędzane wzrastały z powrotem w większej liczbie i silniej cisnęły się do wrót Dumy. Fotografowie utrwalili momenty rozpędzania manifestantów w chwili, gdy tu i ówdzie zaczęły się pojawiać rozwinięte czerwone sztandary.



U wrót Dumy: Oddział ochrony Dumy rozpędza przed pałacem Taurydzkim tłumy manifestantów.

Sensacyjny proces o zabójstwo.

Niezwykłe zaciekawienie wzbudził świeżo w Warszawie proces sądowy w sprawie o zabójstwo śp. Aleksandra Koca.



Sensacyjny proces w Warszawie: Śp. Aleksander Koc.



Sensacyjny proces w Warszawie: Śp. Zofia z Mączarskich Moulisowa.



Sensacyjny proces w Warszawie: Obwiniony Władysław Moulis.

Podsądnym był właściciel zakładu fryzyerskiego przy ul. Kruczej, Władysław Moulis, który w dniu 3-go października roku zeszłego zabił Koca w restauracyi Rakowieckiego, przy ulicy Marszałkowskiej l. 86. Czyn jego zakwalifikowano pod artykuł 1455 cz. 1 k. k., grożący karą ciężkich robót lub osiedlenia. Okoliczności, jakie poprzedziły zamach na Koca i towarzyszyły krwawemu zajściu, według zeznań świadków, nosiły na sobie piętno, wybitnie potępiające ofiarę zbrodni. Oskarżony, żonaty był z siostrą p. Kocowej, Zofią, która do zamążpójścia, przez ciąg lat pięciu, mieszkała u pp. Koców. Z pobytu tego Koc umiał skorzystać dość wcześnie ze szkodą dobrej sławy 15-letniej wówczas p. Zofii, stosunek zaś swój z nią potrafił utrzymać siłą brutalną, aż do ostatniej chwili jej życia.

Nieświadomy całej ohydnej prawdy Moulis, którego związek małżeński z p. Zofią opierał się na węzłach serca i był mu źródłem całkowitego szczęścia, w dniu 15 sierpnia r. z. w domu teściowej swej w Radzyminie, nagle dowiedział się o wszystkiem. Było to w trakcie gorącego sporu pomiędzy Kocem a rodziną jego żony, która robiła K. wyrzuty, za grubiańskie obchodzenie się z żoną. Wtedy to z ust brata pań Kocowej i Moulisowej padły owe słowa, które mieściły w sobie oskarżenie Koca i zmiażdżyły cały gmach szczęścia Moulisa. Zostawił on żonę w Radzyminie i wrócił do Warszawy. Nazajutrz otrzymał list od żony z wyznaniem prawdy i prośbą o przebaczenie, pojechał więc do Radzymina i tam, dzięki interwencyi spowiednika, między małżonkami nastąpiła zgoda. Wrócili do Warszawy. Tu Zofia przekonała się, że zgoda była tylko pozorną. Widząc zaboiętnienie męża, na drugi dzień po powrocie do Warszawy, otruła się karbolem.

Śmierć jej dała Kocowi nową sposobność do zaznaczenia wobec Moulisa swego wrogiego stosunku. Nie otrzymawszy w istocie za żoną swą ani grosza posagu. Moulis zeznał był w akcie intercyzy, że p. Zofia Mączarska wniosła mu 5 000 rubli. Po śmierci Moulisowej, suma ta w braku zstępnych spadkobierców nieboszczki, przechodziła na własność jej matki i rodzeństwa (w $^3/_4$), oraz jej męża (w $^1/_4$) Że jednak ta suma była fikcyjna, przeto rodzina zrzekła się spadku. To samo pragnęła uczynić p. Kocowa, sprzeciwił się temu jednak kategorycznie mąż jej, postanowiwszy zagarnąć całe trzy czwarte spadku. Moulisowi groziło to ruiną, zmuszony więc był wejść w pertraktacye z Kocem. Trwały one całe 6 tygodni, aż wreszcie ostateczne rozwiązanie sporu miało nastąpić w owym dniu 3 października w restauracyi Rakowieckiego. Do restauracyi tej M przyszedł z browningiem, aby na wszelki wypadek mieć obronę przed K.

Trzy godziny trwała rozmowa Moulisa z Kocem w restauracyi Rakowieckiego. Jaka była treść jej, tego świadkowie nie umieli powiedzieć, prowadzono ją bowiem przyciszonym głosem. Zdaniem podsądnego, Koc na wyrzuty jego odpowiedział cynicznie, że jeżeli Moulis ożeni się poraz wtóry, to on i z jego drugą żoną zrobi tak, jak z pierwszą. „Powiedziałem mu wtedy (słowa podsądnego): „padlec“, na co on chwycił jedną ręką za szklankę, drugą włożył do kieszeni; obawiając się zamachu, strzeliłem pierwszy“ ... Strzałów tych było pięć, a z nich trzy trafiły Koca w głowę, piersi i brzuch. Koc padł martwy.

Na posiedzeniu sądowem obronę wnosił adwokat przysięgły Adolf Pepłowski, a była to psychologia bólu. Po naradach sąd okręgowy ogłosił wyrok, skazujący Władysława Moulisa ze sprawy o zabicie Aleksandra Koca na pozbawienie wszystkich szczególnych praw stanu i przywilejów i zamknięcie w rotach aresztanckich na lat 3, wobec zaś „wyjątkowo nieszczęśliwych okoliczności, towarzyszących czynowi Moulisa“, sąd postanowił prosić monarchę o ułaskawienie skazanego.



Podarek dla cesarza Wilhelma: Deputacya rosyjskiego pułku Wyborskiego, która przywiozła cesarzowi niemieckiemu obraz.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

14 Ciąg dalszy.

— I tyle ludzi narażacie na śmierć, więzienie, nędzę... a my ani jednego robotnika nie wyprowadzimy na strzały karabinowe, zwyciężymy ideą! — kończył Figura.

— Wy zasklepiacie się — zawołała Logika — w ciasnej klatce narodowościowej, a my dążymy do braterstwa ludów, do urzeczywistnienia słów i marzeń całej ludzkości!

— Was można porównać do rzeki — mówiła dalej po krótkim przestanku Logika — chociażby wielkiej i zasobnej, a my chcemy morza bez kresu, bez końca, w którem wszystkie rzeki zlewają się w olbrzymi ocean szczęścia i jedności.

— Tak towarzysze — mówił podniecony Kola — my chcemy braterskim węzłem otoczyć świat cały od końca do końca. Gdziekolwiek spojrzycie, wszędzie wyzysk, nędza, poniżenie godności ludzkiej. Niegdyś taki szlachetny marzyciel, jak Chrystus, pragnął zespolić świat cały w imię Boga, lecz był to tylko sen; dziś my to przeprowadzimy, bo uspołecznimy świat cały w imię sprawiedliwości i praw wszechludzkich.

Porwa, wsunięty głęboko w fotelik, palił papierosa i zdawał się być bardziej zajęty warstwami dymu, aniżeli rozmową. Bal, wsparty o okno, słuchał, a około ust od czasu do czasu przewijał się uśmiech ironiczny.

— Czy skończyliście? — spytał Porwa spoglądając na towarzyszy.

— Wcale nie! — zawołał Figura, gładząc swą ładną brodę — wy, Porwa, rozkładacie naszą robotę na kilka dziesiątków lat... otóż wierzcie mi, bo agitowałem, nic łatwiejszego, jak poruszyć ludzi, gdy mówi się do nich o ich dolegliwościach. To rozumieją doskonale i szybko, gdy powiecie im o równych prawach politycznych i obywatelskich, o wolności słowa, zebrań, prasy, o nietykalności domu i osoby, o wyzysku rządowym i burżuazyjnym. Od robotników przejdą te hasła do ludu, od ludu do wojska i przyjdzie chwila, gdy cały naród otrząśnie się i zrzuci kajdany wiekowe, wybierzemy konstytuantę i ona ogłosi nowe prawa społeczne, ekonomiczne i nową formę rządu.

Porwa patrzał badawczo i odrzuciwszy papierosa, wyprostował się na fotelu:

— Trochę cyfr nie zaszkodzi... Rosya europejska bez Królestwa posiada 98.000.000, z Królestwem 110 000 000. Kaukaz 10, Turkestan 7, Syberya 6, czyli razem 133.000 000 mieszkańców według obliczenia z r. 1900. Robotników liczy Rosya około 5.000.000 w ogniskach bardzo rozrzuconych a Królestwo do pół miliona. Gdybyście więc uświadomili, co wydaje mi się niepodobieństwem, wszystkich robotników, czy możecie przypuścić, że oni wpłyną na pozostałe 128.000 000 i skłonią do rewolucyi polityczno-społecznej? Utopia, moi przyjaciele... Nawet przypuściwszy, że zmuszą rząd do zwołania konstytuanty, cóż zaważą ich głosy wobec milionów!? Znów utopia!

— Zatem według was nic nie robić i czekać — rzekł z przekąsem Figura.

— Mylicie się... rewolucya jest konieczną, jest jedynym środkiem na śmiertelną chorobę państwa rosyjskiego, ale jak historya uczy, rewolucyi nigdy nie zrobiła ani robi większość narodu, tylko i jedynie garstka mniejszości, zdecydowanej na wszystko i uzbrojonej. Większość zasugestyowana czy też steroryzowana idzie na oślep za tą mniejszością. To jest psychologia każdej rewolucyi, więc i naszej.

— Pobiję was waszą bronią — zawołała Logika — mówicie, że mniejszość sugestyonuje większość, a więc my, zespoleni, przejęci jedną i tą samą ideą, oddziałamy na większość siłą ducha i myśli i zwyciężymy. Chrystus był bezbronny, a idea jego ogarnęła świat cały.

— No, no towarzyszko — uśmiechnął się Bal — wasze porównanie bardzo kuleje. Cała ludność ziemi wynosi 1.500 milionów, a samych braminów i buddystów 600 milionów. Nie zapominajcie, ile wieków walczyło chrześcijaństwo i jakiemi okrutnymi sposobami nawracało i utrzymuje się po dziś dzień, a jednak miało hasła i zasady szczytne i popularne. Czyż i wasze społeczne zasady chcecie w ten sposób przeprowadzać? Nie, towarzyszko, rewolucyi nie robi się agitacyą, dziennikami, książkami.

— A któż zaczął wielką rewolucyę, jeśli nie myśliciele i autorzy? — zaśmiała się Logika.

— Dali krytykę tylko, a rewolucyę zrobili Żyrondyści, Jakobini, Terroryści i inne kluby mniejszości... zważcie dobrze, mniejszości gotowej na wszystko i uzbrojonej — wmieszał się Porwa — i nam trzeba wpierw wywołać zamęt, strach, niepewność jutra, niech się wszystko kotłuje, wrze, przewala, jak w kraterze wulkanu, a wówczas my bez trwogi i wahania, silni organizacya, zdecydowani na wszystko, staniemy na czele chaotycznej, bezwładnej, steroryzowanej ludności i podyktujemy nasze prawa.

Mówiąc to Porwa, wstał; z oczu biły mu blaski zapału, wiary w swe siły i w spełnienie zamiarów. Z tonu głosu, z ruchów, z wyglądu, każdy odczuł, że za temi słowami idzie czyn, że ten zamęt wzrośnie na skinienie i zacznie się to przewalanie olbrzymiej maszyny państwowej, a nad tym chaosem, na drgających jeszcze gruzach wzniesie się czerwony sztandar.

Pierwsza Logika, najpodatniejsza wrażeniom, rzekła z płonącemi oczyma:

— Gdyby dożyć... gdyby przyspieszyć tę chwilę!...

Figura odchrząknął i rzekł z rozwagą:

— Wasza taktyka podoba mi się w zarysach ogólnych, zgodziłbym się na nią, gdyby cel i hasła nie były tak wąskie, tak ciasne. Podnosicie narodowość, a ona zaciemnia horyzont, uniemożliwia braterstwo, odsuwa związek międzynarodowy na bardzo dalekie pole.

— Ach towarzyszu — uśmiechnął się uspokojony już Porwa — dajcie sobie spokój z tą chimerą międzynarodową. Z towarzyskości zwierząt powstało uspołecznienie ludzi i ono jest bardzo świeżym nabytkiem ludzkości i wy chcecie to uspołecznienie jednym zamachem rozciągnąć na całą ludzkość. Nie wiem, czy ta miedzynarodówka ma być biała, czarna, czy żółta. Każda rasa inaczej rozumie i odczuwa prawa społeczne. Każda posiada właściwy sobie instynkt, który przebija najtwardszą nawet skorupę nabytej cywilizacyi i kultury. Inaczej reaguje na zasady socyalizmu Niemiec, inaczej Francuz, Anglik, Rosyanin lub Polak, nie mówiąc o Chińczykach, Japończykach, Czarnych itd., itd. Niema obręczy, któraby te klepki utrzymała w kupie. Każda musi żyć samodzielnem życiem i instynktu samozachowczego rasy nie zniszczycie, podobnie jak siły promienia słonecznego, jak fizyograficznych warunków Ustaną wojny, zawiesicie konkurencyę, ale ani nie możecie zaprowadzić jednostajnego ustroju społecznego, ani jednostajnych praw i sprawiedliwości.

— Spór zawiódłby nas za daleko — odezwał się Kola — i stałby się bezprzedmiotowym, bo ani wy nas, ani my was nie przekonamy, gdyż stoimy na dwóch różnych punktach. Pracujcie wy, idźcie za waszą taktyką, a nam zostawcie swobodę pracowania na nasz sposób, u celu zawsze się spotkamy i pogodzimy się.

— Ale to jest rozstrzelenie sił, marnowanie czasu — zawołał Bal. — Robotnik nie posiada subtelnego zmysłu krytycznego, a jeśli od nas usłyszy jakie zasady, od was inne, od N-deków znów odmienne, wprowadzimy chaos w jego rozumowaniu i ostatecznie zwątpi we wszystkie hasła i plunie na całą robotę, która pozbawia go chleba, naraża na więzienie, kary a nawet śmierć. Tylko jednością możemy być silni i zwycięzcy.

— Słuchajcie towarzysze — przemówił wśród chwilowej ciszy Porwa — ostatnia rezolucya, przyjęta przez konferencyę delegatów socyalnej demokracyi rosyjskiej, polskiej, łotewskiej, ukraińskiej i żydowskiej, mówi wyraźnie, iż należy przygotowywać zbrojne powstanie ludu. Znacie ją przecież i my w myśl tej uchwały sprowadzamy broń, przygotowujemy ludzi, a czyż wy chcecie się wyłamać z tej solidarności partyj naszych?

Patrzał badawczo na Logikę, Figurę i Kolę, którzy słuchali go chmurni, wreszcie zaczął Figura:

— Czy wy Porwa sądzicie, że zbrojne powstanie może się udać, gdy rząd rozporządza wojskiem, karabinami, armatami?

— Ani chwili nie wątpię, że zbrojne powstanie zgniecie... Ale siły największego olbrzyma wyczerpią się, gdy bez przerwy ze wszystkich stron będzie szarpany, rwany, męczony i tylko tej taktyki musimy się trzymać.

— Nikt jednak nie może być pewny, że olbrzym osłabnie i podda się pod wpływem tej taktyki — powiedział Kola — lecz jeśli my zrewolucyonizujemy całą ludność i wojsko, usuniemy mu ziemię z pod nóg — zwali się. Przypomnijcie sobie z historyi, w jaki sposób w XIX w. różne narody otrzymały konstytucye i pozbyły się królów. We Francyi w r. 1830, gdy rządził Karol X, wystarczyło zachwianie się dwóch pułków, które nie chciały walczyć z ludem. Marszałek Marmont dał o tem znać królowi, a Karol X abdykował tegoż dnia na korzyść wnuka, Henryka V, co zresztą unieważniło Zgromadzenie narodowe. Otóż i my dążymy do podobnego rozwiązania, nasza agitacya przeniknie wojsko i w ten sposób usuniemy jedyną podporę despotyzmu.

— Czekaj babka, aż ci dojdą latka — zadrwił Bal — twoje przypuszczenie opiera się na nieruchomości rządu, a tymczasem rząd da okruchy swobód, zrobi ustępstwa pewne, zarządzi komedyę Zgromadzenia narodowego i w ten sposób pozyska większość narodu dla siebie, a wy zostaniecie osamotnieni, stracicie łączność z narodem i jako nieszkodliwi, burzyciele porządku publicznego wymrzecie bezpotomni.

— Nie znasz rządu — zaśmiał się Figura — on będzie zwlekał i zwlekał, a podtrzyma go w tym kierunku zaciekła i rozwydrzona biurokracya, z obawy, że smaczny łup wyrwie się z jej paszczy.

— A wy, Logiko, jak sądzicie? — spytał Porwa.

— Gdybym szła za uczuciem, byłabym z wami... wasza taktyka wydaje mi się bliższą, szybszą... ale znów pewniejszą w osiągnięciu celu jest nasza.

— I wy naprawdę — patrzał Bal na Figurę i Logikę — nie kochacie kraju, nie chcecie Polski wolnej, wyrzekacie się nawet swej narodowości?

— Co się też wam śni? — oburzył się Figura — jestem i pozostanę Polakiem, tylko daleki jestem od egoizmu... i na równi współczuję z wyzyskiwanym Rosyaninem, Niemcem, żydem, jak i z Polakiem. Całe złe ludzkości pochodzi z ustroju kapitalistycznego, zwalczmy ten, a wszystko się zmieni. Polityka jest u mnie na dalszym planie, a głównym wrogiem kapitalizm. Łączymy się z proletaryuszami wszystkich krajów i stanowimy, lub też będziemy wkrótce stanowili siłę potężną, która wstrząśnie posadami świata.

— Z marzycielem, jak z wierzącym na nic rozumowania — rzekł Bal — chodźmy co zjeść. Wy Logiko, gospodarujcie.

— Dlaczego ja? — zaśmiała się.

— Bo chcę poznać wasze zdolności w tym kierunku.

— Macie poważne zamiary — śmiał się Figura zasiadając przy stole.

— Najpoważniejsze.

Wszyscy spojrzeli to na Logikę, zaparzającą herbatę, to znów na Bala, znoszącego na stół półmiski z mięsem.

— Jak to, bez mej wiedzy i woli? — uśmiechnęła się — nawet w naszem państwie potrzeba wpierw porozumienia.

— Lecz zanim się zdecyduję, chcę was poznać pod tym względem.

— Jednem słowem, czy będziecie godni tego zaszczytu? — rzekł wesoło Kola.

Gdy już usiedli i zaspokoili pierwszy głód, mówił Bal z powagą:

— Do pewnego stopnia wasz egzamin Logiko wypadł nieźle... otóż mam zaszczyt zaproponować wam...

Umilkł, a wszyscy z ciekawością czekali, co powie, a niecierpliwy Porwa zawołał:

— Małżeństwo!

— Nie — mówił z niewzruszoną powagę Bal — ale prosiłbym was, abyście wzięli w opiekę moją siostrę Wandę. Przyjeżdża za trzy dni... możebyście zamieszkały razem... ona bierze miesięcznie 125 rubli, z tego daje na partyę 50 rubli i te pieniądze obracamy na wynajęcie ładnego, obszernego mieszkania, nie dającego pola do podejrzeń. Tam będziemy miewali sesye, będzie część archiwum i kasy. Czy zgadzacie się?

Kola, słysząc o przyjeździe Wandy, zarumienił się z radości i oczy mu zabłysły, co nie uszło uwagi Bala a Porwa dorozumiewając się, iż tym sposobem Logika zbliży się do nich, poparł ten plan.

— Przypuszczam towarzyszko, że nie odmówicie Balowi... takie mieszkanie i wam ułatwi robotę, uniknięcie podejrzeń i śledzenia, bo jako pani,

możecie przyjmować i zatrudniać legiony robotnic.

— Ile lat ma wasza siostra? — spytała po dobrej chwili.

— Dziewiętnasty.

— A rodzice?

— Nie żyją... Mamy tu ciotkę, ale wyjeżdża do Petersburga.

— Hm... czy należy do partyi? jaka ona?

Zamiast Bala odpowiedział Kola pospiesznie:

— Inteligentna, zapalona do naszej pracy, przytomna i odważna. Nie pożałujecie... a będzie wam weselej i swobodniej.

— Ja przychylam się do zdania Porwy—odezwał się Figura — będziecie bezpieczniejsi i nam ułatwicie w niejednem.

— Więc dobrze — skinęła głową — ale trzy dni... mało czasu na mieszkanie, meble, urządzenie...

— Pomogę wam — rzekł Bal — mieszkanie musi być w przechodniej kamienicy i mieć dwa, a jeśli się uda trzy wejścia... już znajdę, a wam dziękuję szczerze za waszą gotowość — podał rękę i jak się zdawało Porwie, za długo trwał ten przyjacielski uścisk.

Zadzwoniono u drzwi wejściowych.

— Pewno towarzysze Młot i Marceli, których zaprosiłem — rzekł Bal, wstając.

Wkrótce wrócił Bal i z progu:

— Jest Wicher! — rzekł.

— Witajcie!... Witajcie!

Porwa wstał z krzesła i ściskając jego rękę, spytał:

— Przyjechałeś?

— Jak widzisz, z duszą i ciałem, a ostatnie wściekle głodne.

— Siadajcie — zapraszał Bal, podsuwając jedzenie i pełną szklankę.

— Udało ci się? Opowiadaj! — mówił zniecierpliwiony Porwa.

— Zaraz... tylko zjem cokolwiek — odpowiedział, przełykając potrawę i w czasie jedzenia opowiadał: — W Katowicach zastałem paczkę browningów i naboje.

— Wszystkie?

— Było sto, jak zamówiono... Przemycić było trudno, bo i straż, i kozacy, i wojsko pilnują w trzech liniach. Nikt nie chciał się podjąć. Więc w Sosnowicach zwerbowałem naszych piętnastu towarzyszy, pojechaliśmy do Katowic, opakowałem ich i siebie browningami i nabojami... Wracamy przez stacyę, ale w sali rewizyjnej gwałt, może Prusacy zdenuncyowali, może kto inny, dość, że biorą kolejno do rewizyi osobistej... no a za przewiezienie takiej dużej ilości broni, kula lub stryczek!

— Cóżeś zrobił? — spytał Bal.

— Znalazłem jajo Kolumba — śmiał się zadowolony — rzuciłem petardę na środek sali rewizyjnej i krzyknąłem: bomba! W jednej chwili wszystko rzuciło się do drzwi, a celnicy na czele. Naturalnie ja i towarzysze tak przeraziliśmy się bomby, że nie oparliśmy się aż w pobliżu kościoła, w umówionem miejscu.

— Doskonały pomysł — śmiała się Logika.

— Wybornie — zacierał ręce Porwa — no, teraz zacznie się robota; mamy bomby, browningi i trochę karabinków Mausera na znaczniejszą odległość.

— Macie już plan? — dopytywała się Logika z błyszczącemi oczyma.

— Przedstawię na posiedzeniu i „porwa!“ jak zwołują się flisacy do wspólnej pracy.

— Wy szczęśliwi — westchnęła mimowoli.

Odezwał się dzwonek i po chwili weszli Młot i Marceli odświętnie ubrani.

— Przedstawiam wam dwóch towarzyszy — mówił Bal -- którzy z narażeniem życia spełnili obowiązek partyjny.

Przywitano obu serdecznie, goszczono, a Logika wśród rozmowy rzekła:

— Dokazaliście wielkiej sztuki, ominąwszy szczęśliwie tyle niebezpieczeństw.

— Łatwo nam było — uśmiechnął się Marceli — bośmy byli wśród swoich.

— Więc pomogli wam towarzysze?

— Jednego, co prawda, spotkaliśmy na kolei, ale nie tego miałem na myśli, lecz swojaków, naszych, Polaków.

— Jakże to rozumiecie? — spytał Kola — bo nie znam waszych przygód.

— Gdyby nie pomoc gospodarza z Jedlina i jego syna, dziobałyby nas kruki — rzekł Młot popijając piwo.

— I wiedzieli, kto wy — dziwił się Figura.

— Tyle, że my swoi, Polacy i że nas chcą skrzywdzić — odpowiedział Marceli — no i nie tylko Jedliniacy, ale kiedy wsypaliśmy w obławę, to choć poznali nas i przyczajonego pod krzem towarzysza Michała, żaden nie mrugnął okiem nawet.

— A ten, co nas podwiózł i przenocował — dodał Młot — naród wie najlepiej, że my za nim stoimy i byle tych wyrzucić, wszystko będzie dobrze.

Figura był niezadowolony z tej rozmowy i postanawiając uświadomić tych ludzi, przemówił:

— Towarzysze, czy sądzicie, że byłoby wam lepiej, gdyby zamiast fabrykanta Niemca był Polak?

— Jeden dyabeł — zaśmiał się Marceli — wart jeden drugiego.

— Zatem wpierw musimy zwalczyć tych wyzyskiwaczy fabrykantów, przemysłowców, całą kanalię burżuazyjną, bo oni podpierają rząd, podtrzymują, pomagają gnębić robotników.

— Darujcie towarzyszu — rzekł Młot poważnie — ale widać, że my jeszcze nie nauczeni. Dajcie nam tylko wolność słowa, wolność zebrań, wolność zjednoczenia, a my już sobie poradzimy z fabrykantami całego świata. Dziś robimy to potajemnie i zastrajkujemy w jednej fabryce, a tu leci na nas chmara policyi, żandarmów, szpiclów, wysyłają etapem, więżą, rozpędzają i chociaż wszyscy chcą strajku, ale głód doskwiera, żony, dzieci wołają chleba, a kasy zapomogowej niema, bo rząd nie pozwolił; tak, kto mnie ciśnie najgorzej, kto nie pozwala mi na wywalczenie lepszych warunków, nikt, tylko rząd. Przecież ja nie zbój, ani rabuś, abym wymordował wszystkich, którzy posiadają majątek, idzie mi o to, ażebym mógł prawnie walczyć z wyzyskiem.

— Zwalczajmy więc równocześnie i despotyzm i kapitalistów, fabrykantów i wszystkie pijawki. Wszyscy wyzyskiwani łączmy się wspólnie i uderzajmy wspólnemi siłami, czy to Niemiec, czy Rosyanin, czy Polak, wszystko jedno — wstał podniecony Figura.

— Widzę towarzyszu, że wy S-dek — uśmiechnął się Marceli.

— Tak jest i szczycę się tem.

— To idźcież między nędzarzy nieświadomych — rzekł Marceli — kto nie ma co jeść, komu dziecko chore z głodu, komu żona kawęczy.. temu mówcie: huzia na fabrykanta, a będziesz miał chleba i wszelki dostatek, gdy zabierzesz jego dobro. Taki złakomi się.. ale kto ma sumienie, patrzy jasno w około, wie gdzie się urodził i jakim chlebem wychował.. ten nie pójdzie z wami.

Te słowa, a zwłaszcza drwiące uśmiechy Porwy i Bala rozdrażniły Figurę; wstał, potarł łysinę i gestykulując kontynuował dalej:

— Miejcież oczy i uszy otwarte, towarzysze. Robotników Polaków jest garstka, a Rosyan miliony. Razem może coś zrobimy, a tak zmarniejecie!

— Ileż tych robotników rosyjskich, co mają nam pomódz? — spytał Marceli.

— Pięć milionów.

— Furda towarzyszu — zaśmiał się — my mamy za sobą cały naród polski, a to warto więcej niż pięć milionów gdzieś na końcu świata... i to nie wiadomo, czy nam co pomogą?

— Mylicie się towarzyszu — odezwała się Logika — w ich programie jest wolność Polski i nad tem będzie radziła konstytuanta w Petersburgu.

— No, no — zaśmiał się drwiąco — jak myślicie towarzyszko, co uradzą wilcy w sprawie owiec?

— Chyba baranom każą zdjąć rogi — śmiał się Młot — aby nie przeszkadzały im do jedzenia...

— Jakie to smutne — westchnął Kola — że nienawiść jego tkwi tak głęboko! A przecież i Rosyanie są ludzie i oni cierpią od rządu i ich wyzyskują!

— Może oni są tam dobrzy, może ich tam uciskają... ale tu są panami, tu wolno im wszystko, tu nas gnębią i wyzyskują, więżą i mordują...

— Ależ to rząd! — zawołała Logika.

— Rząd!? — uśmiechnął się Młot — rząd bez ludzi nic nie zrobi, a ci ludzie, to Moskale. Policyant z Tambowa, strażnik ze Saratowa, urzędnik z Moskwy; więc któż oni? co za naród?

— Ależ i Polacy służą — bronił się Kola.

— Mało ich i tyle warci te wyrzutki, co i tamci.. Kula w łeb i koniec — zawołał Marceli.

Bal przerwał tę rozmowę, rozpytując się o aresztowanych towarzyszy i o jakie wiadomości o nich.

W pół godziny później poczęto się rozchodzić, a Figura rzekł do Porwy z przekąsem:

— Wytresowaliście ich dobrze.

— Bez pracy i zachodu — śmiał się, a zwracając się do Bala i Wichra — jutro posiedzenie, do mnie przyjdźcie.

ROZDZIAŁ VI.

Naprzeciw mieszkania, najętego przez Bala dla Logiki i Wandy, na rogu ulicy Chmielnej i Zgody a stojącego dłuższy czas pustką, mieszkał również na pierwszem piętrze, róg Zgody i placu u wylotu ul. Brackiej, Paweł Pawłowicz Gołubiew, wyższy urzędnik administracyi.

Od dłuższego czasu służył w Królestwie, posiadł doskonale język polski, a dzięki swej surowości w przestrzeganiu przywilejów Rosyan w Polsce, był wysoko ceniony przez generał gubernatorów. Z chwilą mianowania Michała Fiodorowicza Czerniejewa generał gubernatorem wojennym Warszawy, powołany przez niego na stanowisko pierwszego sekretarza, wpływ i znaczenie Gołubiewa wzrosły bardzo znacznie.

Ciąg dalszy nastąpi.



— Przedstawiam wam dwóch towarzyszy — mówił Bal — którzy z narażeniem życia spełnili obowiązek partyjny.

Francuzka u Niemców.

W pogoni za groszem francuscy artyści dramatyczni odbywają wędrówki po całym świecie i dobrze na nich wychodzą. Taka Sara Bernhard,



Francuzka u Niemców: Głośna artystka Zuzanna Deprés.

taka Yvette Guilbert, taki Coquelin młodszy i w. innych, uzbierali więcej w swych „tournées“ zagranicznych wawrzynów i monety, niż we własnym kraju.

W ślady swych kolegów i koleżanek wstępuje teraz słynna artystka Zuzanna Deprés, żona dyrektora i założyciela „Théâtre de l'Oeuvre“ panna Lugné Jove. Świeżo święciła ona wielkie tryumfy w Niemczech, a w Berlinie jako genialna przedstawicielka Rasynowskiej „Fedry“, doczekała się najpochlebniejszej oceny swego talentu z ust samego cesarza Wilhelma.

Pani Deprés, licząca obecnie lat trzydzieści, jest również znakomitą przedstawicielką ról z repertuaru czasów najnowszych a mianowicie wyróżnia się w sztukach Ibsena, jako Hilda Wangel i Nora. Piękna twarz, głos melodyjny, oraz zgrabna, choć niewielka postać, przyczyniają się do zapewnienia jej niezwykłych sukcesów scenicznych.

Zima na Lido.

— Wszystko dobrze, ale gdzież ja pojadę na zimę — pytałam w lecie dra Ebersa — gdy ukończyłam pod jego kierunkiem moją kuracyą krynicką.

— Trzeba jechać — odparł — Lwów jeszcze nie dla Pani?

— Wiem, ale gdzie? Zakłady takie jak tu w Krynicy, zimowe, są tylko w Niemczech. Tam nie pojadę. Dosyć mam poszarpane nerwy, nie chcę ich więcej niszczyć wstrętną atmosferą. — Pan radca nie ma już swojej Cirkwenicy, odebranej mu przez spadkobierców arcyksięcia prawem kaduka.... gdzież pojadę?

Dr. Ebers uśmiechnął się troszkę tajemniczo.

— Cierpliwości! Za kilka tygodni jadę rozejrzeć się po świecie i....

— I?...

— Może być, że nie będzie Pani potrzebowała jechać po zdrowie do Niemców, co więcej, może Pani będzie w zimowym zakładzie hydropatycznym pod moim kierunkiem... i to na południu.

— Oh! doktorze! to byłoby zbyt pięknie.

Twarz dr. Ebersa przybrała stanowczy wyraz.

— Czy Pani myśli, że mówię o rzeczach niepodobnych! Czy Pani sądzi, że Ebers da się tak łatwo zjeść cyganom w kaszy? Pracuję gorąco i gorliwie w moim fachu. Często z sił opadam, aby drugim siły wrócić i gdy pacyenci moi odzyskują zdrowie, czerpię w tem otuchę i bodźca do dalszej pracy. Wiem, że pacyenci polscy czekają na zakład hydropatyczny na południu. Wiem, że taki zakład jest nie tylko pożądany, ale i konieczny. Nie tylko mi wody trzeba dla moich chorych, ale i.... słońca, wielkiego, jasnego słońca....

— Które się kąpie w morzu?

— Tak! tak!... I za tem słońcem pójdę w świat, szukając miejsca, gdzie przyciągną, jak strudzone ptaki, ci, którzy mają ufność we mnie i w moją chęć wrócenia im zdrowia.... Jestem pewien, że kąt taki znajdę.

— Ale nie Abbazia!

— Spodziewam się. Za wiele wichru—Bora — mało dni pogodnych. Przytem żadnej duchowej rozrywki. Nic, coby zajęło umysł chorego. — To wszystko musi łączyć w sobie wybrane przezemnie miejsce!

— Czyż to możliwe?

Doktór Ebers uśmiechnął się znów tajemniczo.

— Możliwe — odparł krótko.

A za oknami gabinetu konsultacyjnego, świerki krynickie. otaczające zakład hydropatyczny szumiały wichrem jesiennym, jakby powtarzając:

— Możliwe!

* * *

I rzeczywiście stało się możliwe.

Oto od sześciu tygodni jestem w nowo otwartym zakładzie zimowym dr. Ebersa na Lido pod Wenecyą. Nie tylko ja jedna Jest nas chorych około pięćdziesiąt osób, a codzień przybywają nowi tak, że niedługo otworzyć trzeba będzie już „dependance“, aby pomieścić wszystkich zgłaszających się. Jak różdżką czarodziejską wywołane stanęły wspaniałe Bagni (kąpiele), ozdobione lwami klasycznymi u wejścia. W łazienkach tych lśniących od ścian porcelanowych, wre życie, a raczej powrót do życia w całej pełni. Królują tu kryniccy łaziennі i łazienniczki. Wszędzie widać atletyczną postać Ignacego, jasną uśmiechniętą twarz Antosi. Przez oszkloną werandę przesuwają się chorzy i wchodzą w głąb gmachu, gdzie czekają na nich natryski, wanny, kąpiele świetlne, zabiegi wodą morską i słodką. Wszystko urządzone wykwintnie, według ostatnich wymogów hydroterapii, zastosowane ze znaną wiedzą i wytrawną umiejętnością przez dra Ebersa. Cały zakład mieszczący się w wielkim, trzypiętrowym gmachu, urządzony z komfortem, daje wygodne i piękne mieszkanie kilkudziesięciu osobom z inteligentnej i wykwintnej sfery. Pokoje jasne, widne, urządzone w guście angielskim, mają okna przeważnie na morze, które czarująco rozciąga się dokoła. W oddali widać Wenecyę i to z taką dokładnością, że dojrzeć można słupy na Piazecie i policzyć okna w pałacu Dożów. Ruch na wybrzeżu Lida ciągły, gondole przybijają, statki kursują bezustannie pomiędzy wyspą a Wenecyą. Wystarczy nawet nie wychodzić z pokoju, aby mieć powód do zachwytu, patrząc na tęczowe zmiany oświetlenia fal morskich. Lecz doktór Ebers z całą pieczołowitością dba o swych chorych. Na każdym kroku, na każdym punkcie widać dbałość nietylko o zdrowie, ale i o to, aby człowiek z kulturą znalazł się w swojem środowisku i aby „milieu“, w którem ma odbyć kuracyę, odpowiadało najzupełniej wymogom jego ciała i ducha. Wspaniale i z nadzwyczajnym gustem urządzone salony, całe tonące w zieleni palm i srebrze weneckich luster, zawierają pisma przeważnie polskie, a na każdym małym stoliczku leżą osobno pisma angielskie, francuskie, włoskie, słowem, istna wieża Babel, konieczna w każdym



Zima na Lido: Radca cesarski. dr. Henryk Ebers, kierownik zimowego zakładu hydropatycznego na Lido.

zdrowotnym zakładzie. Fortepian, stolik do niewinnego labeta, bilardy, czekają na gości. We dnie przez ogromne, barwne witraże wpadają słupy kolorowych świateł do wnętrza salonów. Wieczorem całe potoki elektrycznych blasków zalewają zakład. Winda funkcyonuje ciągle, liczna służba, przeważnie Szwajcarzy i Polacy, cicho i zręcznie po kurytarzach się uwijają. We wspaniałym gabinecie doktora Ebersa znajduje się część przyrządów elektrycznych, główne jednak „gros“ zawiera osobna sala, której podobizna mieści się w dzisiejszej illustracyi. Elektryzacya, galwanizacya, faradyzacya, Franklin, d'Avsouval, masaże wibracyjne, elektryczne, niezliczone zabiegi ujarzmionej siły, zwracającej zmęczonym nerwom utraconą moc, znajdują tu zastosowanie bezustanne. Co więcej, w pokojach urządzenia pozwalają chorym brać naświetlenia, nie wstając z łóżek, termofory elektryczne uśmierzają bóle. I podziwiać ciągle należy tę ener-



Zima na Lido: Zimowy zakład hydropatyczny dra Henryka Ebersa na Lido pod Wenecyą. (W ogrodzie zakładowym).

gię, tę siłę z jaką dr. Ebers potrafił w przeciągu tak krótkiego czasu, zgromadzić tyle środków kuracyjnych, gdyż nietylko elektro i hydropatya znajduje tu zastosowanie, ale i werandowanie, inhalacye, 'fango,' gimnastyka, kąpiele z gorącego powietrza, wszystko, co wiedza zdołała zdobyć dla niesienia ulg nam biednym chorym, wszystko znajduje się tu na tem Lido, w nowym zakładzie dr. Ebersa. Dodajmy do tego najtroskliwszą opiekę lekarską samego dr. Ebersa, atmosferę jakąś swojską, domową, pełne uprzejmości i kultury zachowanie się sekretarza zakładu, p. Przybyłowicza, a dziwić się nikt nie będzie, że nam tu dobrze, że odzyskujemy siły i zdrowie, że zakład w ciągu kilku tygodni staje się już głośnym i że mały motorek zakładu biegnie codziennie na stacyę kolei, aby przez „Canale Grande“, pomiędzy dwoma szeregami wyłaniających się z wody pałaców, przywozić coraz to nowych gości.

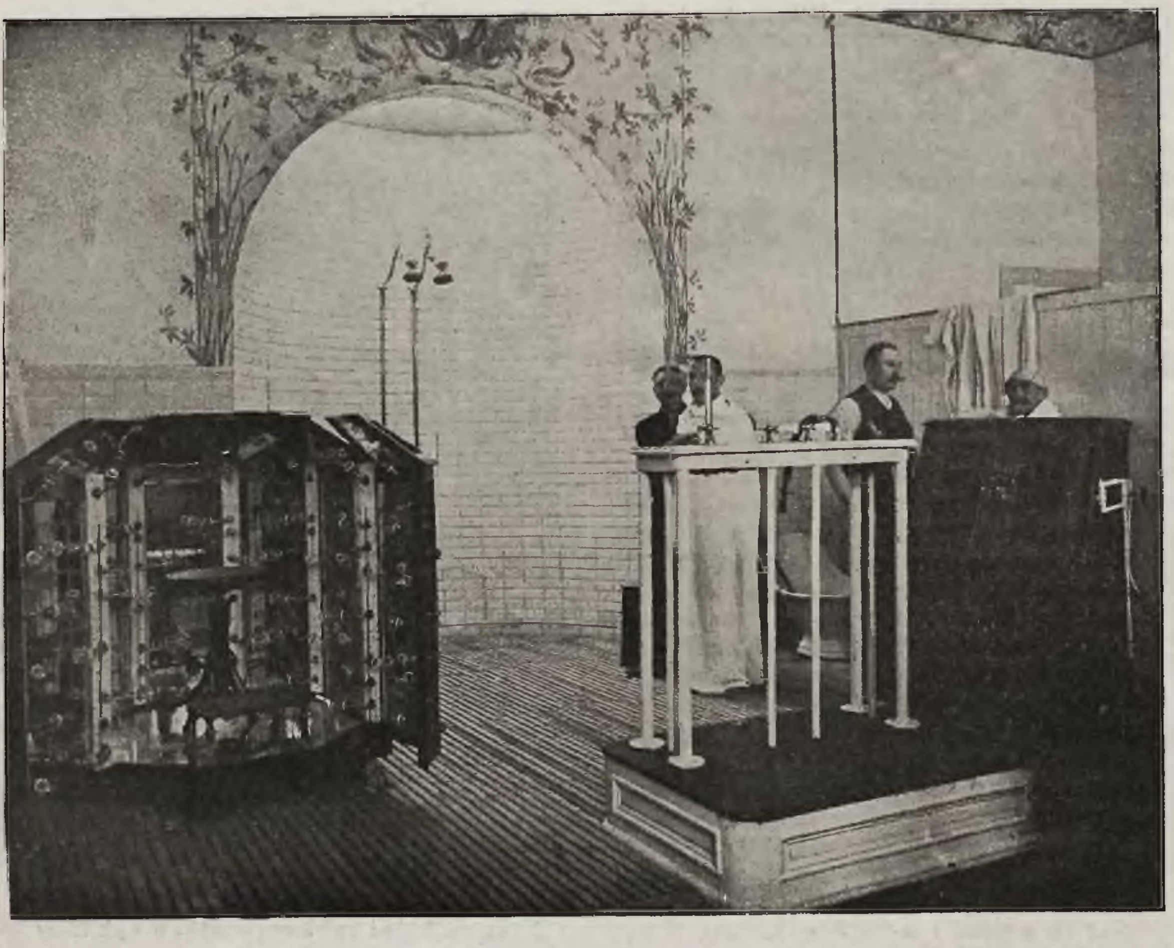
Przyjeżdżają już podbici tą wspaniałą drogą, która bajkami czarodziejskiemi zdaje się być znaczona, aż do samego Lida. Pałace Lukrecyi Borgji, słodkiej Desdemony, tragicznej Duze, marmurem i koronkową ornamentacyą w wodzie się odbijają. Po morzu migają jachty, motory i klasyczne gondole, jak jaskółki czarne, lotne, ślizgające się po opalowych falach. W niedzielę cała wyspa zapełnia się Wenecyanami i trudno określić, jak staje się rozśpiewaną i melodyjną w tych promieniach słońca, lub w błękitnych blaskach księżyca. Czarne szale dziewcząt z ludu, ich pyszne, wielkie źrenice, śmiech jakiś dziwny, jakby wicher na fale rzucany, mają w sobie urok nieokreślony. Z daleka mieni się światłem Wenecya, wieczorem całe girlandy świateł rozpalają się na żaglach statków, pancerniki, jak gwiazdami, znaczą się w oddali. Morze szumi lekko, łagodne, miłe powietrze przenika płuca. Goście zakładowi wracają z wycieczek, lub jadą do teatrów weneckich. Barkarolle, śpiewane chórem, konają w oddali. Jakaś błoga, słodka senność ogarnia zmęczoną ludzką istotę. Dobrze tu, miło, bo nietylko ciało znajduje ratunek, ale i duch czerpie jakieś ukojenie w tej wielkiej harmonii, która składa się na czar, jaki zawsze, na wszystkich Wenecya wywiera.

* * *

A więc — znalazł dr. Ebers takie harmonijne miejsce i z radością prawdziwą powinniśmy powitać jego pomysł, tak niezwykłym uwieńczony skutkiem. Nietylko daje nam tu swą wiedzę wielką, swą troskliwość niezwykłą i podziwu godną, z jaką troszczy się o każdego bez wyjątku chorego, nietylko wybrał na swój zimowy zakład tę uroczą wyspę, gdzie ciepłota powietrza, równa się ciepłocie Abbazii, a wilgotność jest większa niż w Arco i Lugano. lecz sprowadziwszy z kraju służbę, kąpielowych, kąpielowe, złożywszy zarząd i administracyę z Polaków, pozwolił nam być jak u siebie, nie stracić kontaktu z krajem. A gdy zatęskni się po wykwintnych „menu“ szefów zakładowych za polskim barszczem, albo kaszą, to jest tam na dole taka Zosia. która ten barszcz przyrządza „jak w domu“. Gdy piszę te słowa, na dole, w salonach odbywa się zaimprowizowany koncert, niemniej jednak artystyczny i ciekawy. Oto dr. Ostaszewski Barański czyta zajmującą i barwną rzecz o romantycznej przygodzie Francesca Gimtiniani zakończonej małżeństwem na Lido, panna Skorynówna, jasnowłosa Warszawianka, śpiewa pięknym głosem „Romance“ Tostiego, panna Skazanka grą swą koncertową podbija słuchaczy, p. Łukaszewicz rozwesela chłopskimi monologami. Audytoryum liczne, bo i Polonia wenecka nadciągnęła z Wenecyi, panie i panienki pełne wdzięku i urody. Słowem, czy wewnątrz, czy zewnątrz zakładu jakoś pięknie, miło, sympatycznie. A nastrój taki jest konieczny w nerwowych zwłaszcza cierpieniach. Sprawia to bliskość Wenecyi, to słońce, to morze, to cudowne powietrze, łagodne i czyste i to przeświadczenie, że jesteśmy wśród swoich, sami, a przecież nie sami, bo czuwa nad nami wielka wiedza i to serdeczne ciepło, które jest przywilejem dr. Ebersa, a które często dla chorego jest wszystkiem, bo podtrzymuje jego siły fizyczne, nie dozwala mu zwątpić o sobie i duchowo upaść nie daje.

Lido, Wenecya, w marcu.

Gabryela Zapolska.



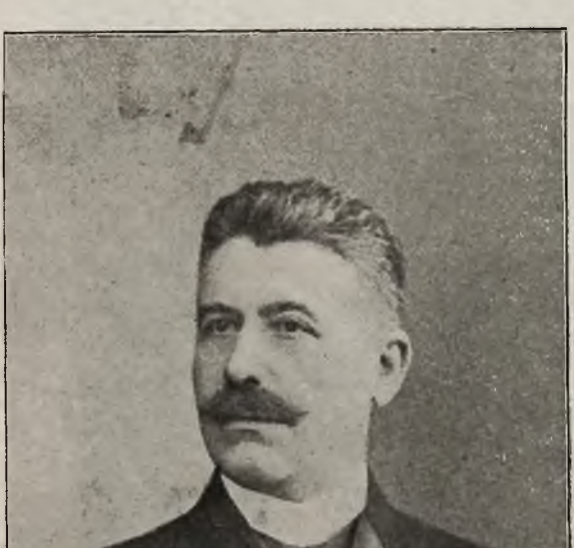
Zima na Lido: Zimowy zakład hydropatyczny dra Henryka Ebersa na Lido pod Wenecyą. (Sala do kuracyi hydropatycznej).

Nowy szef dyrekcyi skarbu.

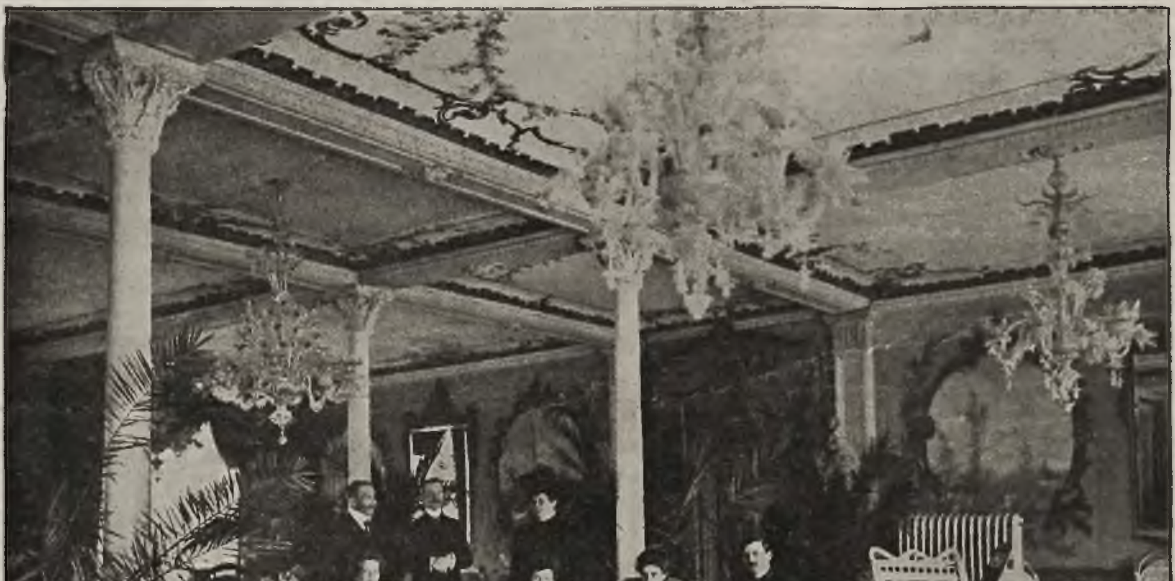
Rok prawie mija od chwili, w której wieloletni szef galicyjskiej dyrekcyi skarbowej, dr. Witold Korytowski, ustąpił z tego stanowiska, powołany do Wiednia. jako minister skarbu. Przez cały ten czas naczelne stanowisko w tym ważnym dziale administracyi kraju było nieobsadzone, a choć wymieniano bardzo wielu kandydatów, nominacya nie przychodziła.

Dopiero w ubiegłym tygodniu nadeszła do Lwowa wiadomość z Wiednia, iż wiceprezydentem krajowej dyrekcyi skarbu mianowany został jeden z najmłodszych radców dworu, p. Stanisław Prokopowicz.

Lwowianin z rodu, ujrzał światło dzienne w r. 1857. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich we Lwowie i Wiedniu, wstąpił w 1879 r. w chara-



Nowy szef dyrekcyi skarbu: Stanisław Prokopowicz, nowomianowany szef galicyjskiej dyrekcyi skarbu.



Zima na Lido: Zimowy zakład hydropatyczny dra Henryka Ebersa na Lido pod Wenecyą. (W salonie zakładowym),

kterze praktykanta konceptowego do galicyjskiej dyrekcyi finansów. W ciągu dwudziestoośmioletniej służby swej pracował we wszystkich prawie działach i gałęziach skarbowości, wszędzie odznaczając się wybitnemi zdolnościami i głęboką wiedzą. Szybko też przechodził stopnie karyery urzędniczej i w roku poprzednim został radcą dworu.

P. Prokopowicz, którego portret dziś zamieszczamy, pracuje też od szeregu lat na polu naukowem, jest docentem ustawodawstwa skarbowego na lwowskiej politechnice i członkiem komisyi egzaminacyjnej nauk politycznych na uniwersytecie.

Jako urzędnik jest wedle jednomyślnej opinii siłą pierwszorzędną, zwłaszcza w dziedzinie podatków pośrednich. Przez podwładnych lubiany był szczerze, to też nominacyę jego powitano z zadowoleniem.

Stanowisko, jakie p. Prokopowicz zajmie w najbliższych dniach jest bardzo trudne i bardzo odpowiedzialne. Nigdzie może nie jest tak trudno pogodzić obowiązków obywatela z obowiązkami urzędnika, jak tu właśnie. Kończąc tedy tę krótką notatkę, przesyłamy nowemu szefowi skarbowości krajowej życzenia, by zdołał odpowiedzieć pokładanym w nim nadziejom i by za pierwszą i najmilszą nagrodę uważał wdzięczność i uznanie współobywateli.

Pożar miasteczka.

Żyjemy ostatnimi czasy w epoce nieustannych katastrof, które jedna za drugą spadają na utrapioną ludność. Nie wszystkie jednak kończą się tak tragicznie, jakby tego można było oczekiwać.

I tak np., przed kilku dniami zgorzało miasteczko Borsano, położone w odległości dwudziestu kilku kilometrów od Medyolanu i zgorzało doszczętnie. O ratunku nie było na razie co myśleć z powodu zwykłego we Włoszech braku wody. Dopiero, gdy przybyły straże ochotnicze z pobliskich miejscowości, oraz wojsko z Medyolanu, wzięto się do energicnej akcyi ratunkowej, w której jednak mieszkańcy Borsanu nie brali wcale udziału.

Ta ich obojętność była tak dziwną, że nawet miejscowy podesta (burmistrz) czynił swym współobywatelom gorzkie wymówki. Na nie odpowiedzieli mu z całym cynizmem: „Niechaj się pali Borsano, jesteśmy ubezpieczeni!“ Oczywiście, że niewiele chodziło im o domy, będące przeważnie własnością bogatych fabrykantów medyolańskich, a za które oraz za swe ruchomości otrzymają sowite wynagrodzenie, ponieważ opłacali premie asekuracyjne. Zresztą zaś te domy, jak donoszą dzienniki, podobniejsze były raczej do stajen i chlewów, niż do domów, zamieszkiwanych przez ludzi.

Tak więc na tym wielkim pożarze mieszkańcy Borsano (podajemy widok z malowniczego tego miasteczka i typ tamtejszego handlarza jarzyn) zamiast szkody otrzymali zyski. Szczęśliwi Włosi!...

Trzydzieści pięć lat pracy artystycznej.

Profesor Alfred Daun, urodzony w roku 1856 w Baranowie nad Wisłą, ukończył szkoły w Bochni, a następnie w Krakowie. Wstąpił do Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych wówczas, gdy cieszyła się ona najpiękniejszym rozwojem. Dyrektorem prof. Dauna był wówczas Matejko, a kolegami tej miary artyści, co Malczewski, Pchwalski, Kossowski i wielu innych.

Następnie studyował w Akademii wiedeńskiej pod profesorem Hellmerem, skąd powrócił jako skończony artysta rzeźbiarz do Krakowa.

Tutaj stworzył przepyszne dzieła zdobiące nasze krakowskie plantacye: „Grażynę“ i „Lulę Wenedę“. Oprócz tego zaś wiele biustów, które stanowią przedmiot podziwu tych, co zwiedzają „Park dra Jordana“, biustów, przedstawiających najwybitniejszych mężów stanu i uczonych polskich z XVI., XVII i XVIII. wieku.

Dalej był p. A. Daun nauczycielem rzeźby w dawnej krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, od roku 1890 do 1898, skąd, ku prawdziwie największej szkodzie tej poważnej instytucyi, przeniósł się, jako nauczyciel rysunków do krakowskiej Szkoły techniczno przemysłowej, gdzie dotąd działa, będąc jednym z najtęższych jej profesorów.

Po trzydziestu pięciu latach jego pracy zawodowej podajemy w dzisiejszym numerze portret znakomitego artysty i wybornego pedagoga, wraz



Fot. W. Lis.

35 lat pracy artystycznej: Jubilat-artysta, prof. Alfred Daun, w swojej pracowni, obok wykończonego dla Husiatyna pomnika Mickiewicza.



Pożar miasteczka: Widoczek z Borsano, zniszczonego przed tygodniem przez pożar.



Pożar miasteczka: Typ handlarza jarzynami z Borsano, które zniszczył przed tygodniem pożar.

ze wspaniałym biustem Mickiewicza, który wykonał dla Husiatyna.

Sądzimy, że umieszczenie tej podobizny będzie miłą niespodzianką dla tych uczniów, którzy czy to w dawnej Szkole Sztuk Pięknych, czy też w Szkole przemysłowej korzystali i korzystają z jego światłych rad i wskazówek. Przy tem zaś jako człowiek o bardzo tęgim charakterze i dobrem sercu cieszy się profesor Daun wielką sympatyą w gronie swych licznych przyjaciół i znajomych, którym również będzie miło oglądać jego podobiznę.



Fot. A. G. w Lutowiskach.

O cztery centy: Pobici i poranieni w niedzielę w Lutowiskach robotnicy słowaccy z Maramarosz.

O cztery centy!

(Do illustracyi tytułowej.)

Lutowiska, małe miasteczko galicyjskie w powiecie liskim, nabrało smutnego rozgłosu z powodu zaiste niezwykłego, a krwawego zajścia, które dzięki uprzejmości jednego z naszych prenumeratorów tamtejszych, illustrujemy w numerze niniejszym. W niedzielę po południu przejeżdżało tamtędy siedmnastu robotników, Słowaków, pochodzących z Maramarosz na Węgrzech, którzy zatrudnieni byli wyrębowaniem lasu dla tartaku w Dwerniku pobliskim. Jeden z pomiędzy owych robotników miał być dłużnym Seimwelowi Fränklowi, pachciarzowi krów w Dwerniku, za pobrane u niego mleko kwotę.... 4 centy! Na miejscu pachciarz się o to nie upominał, lecz dopiero w interesach przybywszy do Lutowisk za Słowakami, począł dochodzić swej pretensyi. Ponieważ jednak nie wiedział dokładnie, który z robotników był jego dłużnikiem, więc obrał sobie dowolnie pierwszego z brzegu i wszczął z nim sprzeczkę, mając jednak do pomocy, przy egzekwowaniu wysokiej pretensyi, grono współwyznawców. W czasie sprzeczki Fränkel uderzył Słowaka w twarz. Ten jednak nie reagując wcale na to, odtrącił tylko pachciarza i wróciwszy do gromadki swoich towarzyszy, wsiadł na sanie, poczem najspokojniej ruszyli robotnicy w drogę. Lecz za odjeżdżającymi rzucili się w pogoń żydzi lutowiscy. W miasteczku powstał zgiełk straszny. Zewsząd wybiegali ich współwyznawcy z kobietami i dziećmi wśród przeraźliwego wrzasku. W rękach ich znalazły się widły, łopaty, kociuby, długie drągi, kije grube... Nieopodal apteki dopadli sań, na których jechali Słowacy i uderzyli na nich tłumnie. Sanie zatrzymali i leżące na nich siekiery i piły porwawszy, zaczęli bić bezbronnych — czem kto miał. Robotnicy widząc przewagę i dosłowne rozwścieczenie napastników, nie bronili się nawet wcale, tylko w ucieczce szukali ratunku, lecz za uciekającymi goniono dalej i bito do upadłego. Żniwo było straszne. Na miejscu pogromu zostało jedenastu robotników pobitych z lżejszemi ranami, dwóch bardzo ciężko rannych, nieprzytomnych, oraz jeden bez życia! Z przeciwnej strony nikt nie został nawet draśnięty. Na widok trzech nieprzytomnych, w krwi leżących ludzi, napastnicy cofnęli się w popłochu.

Burmistrz miasteczka, lekarz dr. Aleksander Dulęba, opatrzył rannych, (których po opatrunku sfotografował nasz korespondent). Sekcya zmarłego z ran 39 letniego Hrycia Rosochy, robotnika Słowaka z Maramorosz (załączamy też jego podobiznę pośmiertną) skonstatowała: kość skalistą na podstawie czaszki pękniętą aż do oczodołu, oponę twardą mózgu zdartą, a oponę pajęczą mózgową zakrwawioną. Jakby dla ironji, doniesienie żandarmeryi wspomina o aresztowaniu tego nieboszczyka. Wogóle w miasteczku panuje oburzenie, iż żandarmerya miejscowa nie interweniowała skutecznie a burmistrz zeznał protokolarnie w sądzie między innemi, że nie aresztowano jednego z najczynniejszych napastników, mimo, że go wskazał doktór Dulęba. Na razie uwięziono sześciu i grupę tę przedstawia nasza fotografia; są to: Meier Krupka, Leib Fürst. Samuel Feld, Chil Kesler, Jojna Krupka i Seimwel Fränkel, pachciarz (oznaczony ╳), który swą 4 centową pretensyą spowodował krwawe zajście. Śledztwo w tej przykrej sprawie prowadzi sędzia Tadeusz Wolomin. A opis nasz powyższy krwawej niedzieli w Lutowiskach opiera się właśnie na dowodach przez śledztwo stwierdzonych.

* * *

Pogrzeb ofiary odbył się we wtorek przy udziale ks. dziekana gr.-kat. i proboszcza łacińskiego w asyście pięciu kapłanów z okolicy. Mimo śnieżycy cała inteligencya miejscowa wraz z tłumem ludu wytrwała do końca ceremonij żałobnych do wieczora. Miasto przez czas pogrzebu było jak wymarłe, z powodu sklepów zamkniętych.



Fot. A. G. w Lutowiskach.

O cztery centy: Trup Słowaka Rosochy, jednej z ofiar krwawego pogromu w Lutowiskach.



Współpracownik Bismarka: Zmarły minister dr. Henryk Bötticher.

(Do artykułu na stronie 15)

Oprócz zamieszczonych tu fotografij — illustracya tytułowa w numerze niniejszym przedstawia główny moment krwawej niedzieli w Lutowiskach.



Fot. A. G. w Lutowiskach.

O cztery centy: Aresztowani w Lutowiskach główni sprawcy krwawych zajść; (oznaczony ╳ pachciarz Fränkel).

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

tłomaczył z angielskiego B. Felicyan

12 (Ciąg dalszy).

Przeczytawszy ten list podała Kate rękę przyjacielowi Jocellyna i rzekła:

— Pan Jocellyn nadmienia w tym liście, że pan jest przyjacielem Leonory Armyn. Czy zdrowa?

— Nietylko zdrowa, ale zupełnie zadowolona, spokojna i zdaje mi się, że zupełnie szczęśliwa.

— A więc jest tutaj, nie wyjechała?

— Tak pani i wyjeżdżać nie potrzebuje, bo wkrótce doczeka się i zupełnej niezawisłości i tego wszystkiego, co jej się z prawa od dawna należy.

— Zaciekawia mnie pan. Cóż to takiego.

— Jeszcze nie pora o tem mówić. Pani najpierwsza dowie się o wszystkiem, jako najwierniejsza przyjaciółka.

— A więc będę cierpliwą. Korzystam ze sposobności, że pana widzę i proszę o doniesienie panu Stuartowi, że się tu przygotowuje coś zgubnego dla Leonory. Chciałam to opowiedzieć panu Stuartowi, ale skoro pan Jocellyn nadmienia, że pan jest wiernym przyjacielem Leonory, pragnę panu to opowiedzieć czemprędzej, bo zdaje mi się że na czasie zależy. Otóż opowiadała mi pani Arteveldt, że przybył do niej jakiś pan i przedstawił się jako ajent policyi angielskiej, wysłany do ścigania kobiety, która sfałszowała testament i uciekła z Anglii. Kobieta ta umarła wprawdzie, ale sfałszowany testament przechowuje teraz jej córka, mianowicie Leonora Armyn. Już trzy razy ją pochwycił, ale za każdym razem przeszkodził mu w zatrzymaniu dziewczyny jakiś młody człowiek, który udaje ajenta policyjnego.

Dowiedziawszy się, że ów młody człowiek łudzi panią Arteveldt, przyrzekając pochwycenie morderczyni jej syna, uważał za konieczne ostrzedz ją i poprosić, aby mu ułatwiła spotkanie się z tym fałszywym ajentem policyjnym. Nieszczęśliwa kobieta, złamana zupełnie boleścią po stracie jedynaka, uwierzyła we wszystko i obdarzała nieznajomego jak największem zaufaniem. Dopiero, gdy zbyt często i zbyt natrętnie przychodził, zaufanie pani Arteveldt cokolwiek osłabło. Zdaje mi się, że ten nieznajomy knuje coś przeciwko panu Stuartowi.

— Dziękuję pani za te wiadomości; są one bardzo ważne. Czy pani widziała tego nieznajomego?

— Starałam mu się przypatrzeć jaknajdokładniej.

— Czy mogła by go pani opisać?

— I owszem.

Kate Scaton tak dokładnie opisała nieznajomego, że Francis Ferrars poznał w nim odrazu Jasona Bradmardine.

— Ten człowiek jest zaciętym prześladowcą panny Leonory; czyha na jej życie, bo chciałby jej wydrzeć milionowy majątek, który na nią spadnie dziedzictwem.

Kate Scaton osłupiała.

Leonora Armyn, jej przyjaciółka, córka niezbyt zamożnej wdowy, ma być dziedziczką milionowego majątku! Zacna dziewczyna uradowała się niezmiernie, a niemniej też i zaciekawiła i zaczęła gorączkowo zasypywać Ferrarsa pytaniami.

— Już wkrótce dowie się pani o wszystkiem, tylko cierpliwości. A teraz, czy mogę liczyć na to, że otrzymamy klucze?

— Postaram się o nie do jutra rana.

— Gdzież się mogę po nie zgłosić?

— Codziennie wychodzę rano na przechadzkę, więc jutro o dziewiątej niech pan czeka na mnie na Avenue Lincoln.

— Dziękuję już z góry imieniem mego przyjaciela Jocellyna.

— A cóż będzie z tym niebezpiecznym nieznajomym?

— Już przestał być niebezpiecznym z chwilą, gdy mi pani o nim powiedziała — rzekł uśmiechając się Ferrars i pożegnał się uprzejmie.

Wieczorem tego samego dnia był w klubie ów bal maskowy, na który to Nelly Brown Laurę Durand namówiła.

Tłok był wielki, wszystkie sale przepełnione, kostyumy bardzo rozmaite, przeważnie drogie, wspaniałe, ale nie brakło też i takich, które wymyśliła prawdziwie artystyczna fantazya.

Pośród tłumu krążyły dwie arabki, lśniące cennymi klejnotami.

Jedna z nich zwracała uwagę nietylko drogocennem ubraniem, ale i niezwykłem spojrzeniem. Miała oczy tak niepospolite, tyle w nich było demonicznej siły, tyle wyzywającej śmiałości, a przy tem kiedy niekiedy taki połysk kokieteryjno-ujmujący, że kto raz je zobaczył, już ich nie zapomniał.

Z tłumu wysunął się rycerz średniowieczny, w towarzystwie zgrabnego pazia i stanął przed filarem, koło którego usiadły arabki. Wpatrywał się w nie z wielką uwagą, dobył nieznacznie kawałek kartonu, przypatrzył mu się i kilka razy rzucił okiem to na karton, to na arabkę z niezwykłemi oczyma. Przyłączył się do nich cygan, pokornie ukłonił się rycerzowi i spytał po cichu pazia:

— Poznałeś ją?

— Poznałem wszystkie trzy.

— Trzy? Wszakże są tylko dwie.

— Chodźcie; już obserwują nas i mogą się domyślać — rzekł paź. — Możemy już swobodnie wyjść z balu, ale nie wychodźmy razem, czekam was za pół godziny u siebie.

Na balu szumiało jeszcze wszystko, huczało.

W pół godziny potem w mieszkaniu Stuarta zjawili się Jocellym i Ferrars.

— Powiedzże teraz mój paziu — rzekł Ferrars do Stuarta — kto to jest ta trzecia?

— Włóczęgo cyganie, proś rycerza Jocellyna, niech ci rzecz wyjaśni, boć przecie z fotografią w ręku sprawdzał moje odkrycie.

— Zagadki, same tylko zagadki — mówił Ferrars.

— W jednej i tej samej osobie odkrył ten wiercipięta, mój paź, nie tylko pannę Laurę Durand, ale i Elizę Schwartz. Mówże sam mój paziu — rzekł Jocellyn.

— Laura Durand chciała zgubić swą dawną towarzyszkę, Nelly Brown i dlatego nadskakiwała mi bardzo i tak od niechcenia podała adres mieszkania, które od dłuższego czasu interesowało Jocellyna, jako specyalistę. W tem mieszkaniu jest pensyonat pani Rogers. Panna Brown, znana już damą z opalami, postanowiła pozbyć się swej dawnej przyjaciółki Laury i dlatego namówiła ją na ten bal maskowy. A dla czego? Oto, że oczy w oprawie maski dokładniej się uwydatniają, więc łatwiej je porównać z fotografią. Obserwacya potwierdziła stanowczo, że Arabka z dziwnemi oczyma jest to poszukiwana morderczyni męża, Eliza Schwartz. Że zaś ową Arabką jest zarazem panna Durand, więc Eliza Schwartz i panna Durand są jedną i tą samą osobą. Ale w tej osobie tkwi jeszcze morderczyni Arteveldta, bo Eliza Schwartz, czyli panna Durand zamordowała Arteveldta, o czem przekonał się najdokładniej bratanek pana Duranda, pan Artur Durand, który się wam w tej chwili w mojej osobie przedstawi.

Jocellyn i Ferrars równocześnie prawie wyciągnęli rękę ku Stuartowi do serdecznego uścisku.

— A więc niedługo będzie już epilog całego dramatu — rzekł Jocellym. — Bandę się pochwyci, morderczynię odda w ręce sądu; Leonora Armyn będzie od wszelkich podejrzeń uwolniona. Ciężka była praca, a największa zasługa Stuarta. Dzielny z ciebie chłopiec!

W godzinę potem otrzymał Durand krótką depeszę: „Wracajcie“.

XXV.

Fałszerze monet.

Do pensyonatu pani Rogers przybył przed wieczorem handlarz obrazów, zaznajomiwszy się przed kilku dniami z kucharką.

Przyjęła go w swoim pokoiku przy kuchni bardzo gościnnie, a widać musiały się jej obrazy bardzo podobać, skoro go w tajemnicy przed panią zatrzymała do późnej godziny. Tymczasem minęła już godzina jedenasta w nocy, pani Rogers sama obeszła wszystkie korytarze w domu, sama zamknęła drzwi od ulicy i udała się na spoczynek do swojego pokoju.

Handlarz obrazów nie mógł już wyjść na ulicę, więc kucharka wskazała mu mały pokoik na piętrze, przytykający do oszklonego ganku, łączącego pensyonat z domem, w którym zamordowano Arteveldta. Był to pokoik mały, niepozorny, przeznaczony prawdopodobnie dla służby. Handlarz obrazów zamknął się w nim, ale spać się nie położył, tylko co chwilę spoglądał na zegarek, posługując się krytą latarką.

Gdy uderzyła dwunasta, handlarz obrazów otworzył ostrożnie drzwi swego pokoiku, przeszedł przez szklany ganek i dobywszy z kieszeni klucza, otworzył nim drzwi, wiodące do willi Arteveldta.

W tej samej chwili stanęło na ulicy sześciu mężczyzn. Czterej zatrzymali się u wejścia do pensyonatu, a dwaj otworzyli willę Arteveldta i ostrożnie, po cichu udali się na pierwsze piętro, a stamtąd korytarzem do owego szklanego ganku, który handlarz obrazów przed chwilą otworzył.

— Gotowe? — spytał jeden z przybyłych handlarza obrazów.

— Chodźcie, wszyscy przy robocie.

Cicho, ostrożnie postępowali, wiedzeni przez handlarza obrazów, aż znaleźli się w bocznym krętym korytarzu. Wisiała tu szeroka opona, z ciężkiej grubej tkaniny. Wsunęli się tam poza nią wszyscy trzej i zatrzymali przed drzwiami, przez które dochodził stłumiony odgłos cichej rozmowy i brzęku metali. Handlarz obrazów chwycił nagle za klamkę i drzwi prędko otworzył. Wszyscy trzej weszli prawie równocześnie, trzymając rewolwery w ręce.

Za stołem siedziało sześciu mężczyzn i jedna kobieta. Na stole płyty, stemple i wszelkiego rodzaju przyrządy, którymi się fałszerze monet posługują. Pięciu mężczyzn zajętych było fałszowaniem monet i banknotów, a szósty z kobietą oblicza je, układał i porządkował.

Na widok przybyłych, fałszerze wydali okrzyk wściekłości i sięgnęli po broń, ale zanim ją uchwycić zdołali, już rewolwery przybyłych opierały się o ich piersi.

— Poddajcie się! dom otoczony, ani jeden z was nie ujdzie. Przy najmniejszym oporze wystrzelamy was wszystkich! W imieniu prawa wzywam raz jeszcze: ręce do góry! — rzekł jeden z przybyłych tonem groźnym i stanowczym.

Był to Jocellyn, który tu przybył w towarzystwie Stuarta, a owym handlarzem obrazów był Ferrars.

Przez chwilę trwało grobowe milczenie; fałszerze widocznie wahali się, co czynić. Kobieta chwyciła nagle rewolwer i skierowała go na Jocellyna, ale nim zdążyła pociągnąć za cyngiel, już ją uchwycił Ferrars silną dłonią jak kleszczami, rewolwer z ręki wyrwał i zawołał:

— Ellen Pomeroy!

Śmiertelna bladość pokryła twarz kobiety, nogi się pod nią zatrzęsły, z przerażeniem spoglądała na Ferrarsa.

— Cóż to pani się stało, panno Nelly Brown? — zapytał wesoło Stuart, ale oczywiście nie otrzymał odpowiedzi, zwłaszcza, że nie było na nią czasu, bo Ferrars mówił dalej.

— Ellen Pomeroy jest sławna z tego, że umie zabijać ajentów policyjnych, ale tym razem już się to nie uda. Postąp pani ku mnie; ręce do góry. Nie spodziewałaś się, że cię tu odkryją. Wiesz, jaka kara w Anglii cię czeka?

Tak była zaskoczona niespodziewanem odkryciem, że popadła w jakąś bezwładność i nie opierała się wcale, gdy jej ręce wiązano.

— Cóż panie Fergus? — rzekł Jocellyn zwracając się do mężczyzny, który fałszywe banknoty porządkował — nie jest dobry koniec tej zabawki?

W tej chwili Fergus sięgnął ręką do kieszeni dobył coś i połknął, a równocześnie jeden z pięciu, co monety wyrabiali, murzyn z iskrzącemi oczyma, rzucił się z tygrysią, szybkością na Stuarta i chwycił go żylastą ręką jak kleszczami, za gardło.

Zanim atoli ścisnąć je zdołał, już go Jocellyn chwycił za kołnierz i silnem uderzeniem na ziemię powalił tak, że padł bez przytomności.

Fergus zmienił się prędko na twarzy, bladł, siniał, piana mu na usta wystąpiła, widocznie zażył truciznę.

Jocellyn dopadł najbliższego okna, dał znak gwizdawką straży policyjnej na ulicy pozostałej. Trzech strażników przybyło, czwarty pospieszył po lekarza. Fałszerzy wzięto pod straż; niedługo przybył i lekarz, zadał Fergusowi antidotum i kazał go przewieść do szpitala, wyraziwszy nadzieję, że mu życie ocalić będzie można.

Podczas tego gdy lekarz zajmował się Fergusem, Stuart zbliżył się do Nelly Brown, czyli właściwie Ellen Pomeroy i rzekł do niej spokojnie, patrząc bystro w oczy;

— Zostałaś pani uwięzioną za udział w fałszerstwie monet, ale jesteś obwinioną o zbrodnię jeszcze cięższą.

— O jaką? — zapytała nieśmiało.

— Obwinioną pani jesteś o udział w morderstwie Arteveldta i w okradzeniu pana Duranda.

— Ja? Kto mnie obwinia?

— Własna przyjaciółka pani, panna Durand.

— Laura Durand? Ona się na to odważa?

— O! Ona się odważyła na większe rzeczy! Ale o tem potem, a tymczasem proszę mi powiedzieć, czy pani zechce wyznać wszystko dokładnie, jakie to stosunki was połączyły i jakie rozdzieliły?

Nelly Brown, czyli właściwie Ellen Pomeroy, milczała i widać było, że odzyskuje panowanie nad sobą i właściwą sobie zuchwałość.

— Proszę się długo nie namyślać panno Nelly Brown — wtrącił Ferrars — bo opowiedziałbym tu przy świadkach takie rzeczy o pani Ellen Pomeroy, że musiałabyś natychmiast być odesłaną do Anglii i tam postawioną przed sądem. A kodeks angielski wyznacza za takie sprawy karę śmierci.

— Jeżeli ja mam być wywiezioną do Anglii, to cóż dopiero stanie z tak zwaną Laurą Durand?

— Morderczyni Arteveldta zostanie uwięziona i stawiona przed sądem — odpowiedział Stuart.

— A więc przecie! O! powiem, powiem wszystko, aby ta dumna, bezczelna, musiała tarzać się w prochu — mówiła z ożywieniem Nelly.

— Opowiedz to pani wszystko w obecności świadków.

Uwięzionych fałszerzy monet odprowadzono do więzienia, tak zwany pensyonat pani Rogers opieczętowano i otoczono strażą.

XXVI.

U dra Hale.

W jednym z hoteli zajął skromne mieszkanie Durand, przybywszy na depeszę Stuarta. Uwiadomiony o tem przez posłańca pospieszył Stuart do hotelu.

— Jestem punktualny, nieprawda? — rzekł Durand, witając się ze Stuartem. — W jakiem stadyum znajduje się cała sprawa?

— W zupełnie właściwem — odpowiedział Stuart. — Jakże się ma żona pańska?

— Ach, panie kochany, jabym tę nędznicę, co mi żonę otruć chciała, na szubienicy chciał widzieć. Wyobraź pan sobie, że ta niegodziwa jeszcze w ostatniej chwili czyhała na życie swojej dobrodziejki. Jakoś czwartego dnia po naszym wyjeździe moja biedna żona nagle ciężko zachorowała. Wyglądało to na chorobę żołądkową; posłałem natychmiast po lekarza, a tymczasem pytałem się pokojówki, czy moja żona nie zjadła czegoś niezdrowego. Dowiedziałem się, że nie zjadła nic takiego, tylko piła wino z domu przywiezione, a zapakowane przez Laurę. Dowiedziałem się też, że Laura kazała to wino podawać mej żonie, mówiąc, że jest bardzo zdrowe i pokrzepiające i że moja żona z upodobaniem je pije. Pokazało się, że to było wino zatrute. Co to za niegodziwa istota! Wyobrażenia nie miałem, ażeby tyle fałszu, obłudy, tyle zarazem bezczelnej zuchwałości mogło się skojarzyć w jednym człowieku i do tego jeszcze w tak młodej kobiecie! A czy pan już dociekłeś wszystkiego? czy masz już podstawę do oddania jej sądowi?

— Cały węzeł tej sprawy mam w ręce i wkrótce już zakończy się ten dramat. Dziś muszę być u adwokata pani Arteveldt, dra Hale. Niech pan potrudzi się ze mną, aby usłyszeć bardzo wiele rzeczy ciekawych, a nawet dla pana zupełnie niespodziewanych.

— Jestem gotów nawet zaraz udać się z panem, bo przyznam się szczerze, że mnie to wszystko tak przygnębia, tak rozstraja, że radbym już jaknajprędzej doczekać się końca.

Udali się do dra Hale, gdzie się już Ferrars znajdował.

Po przywitaniu powiedział Stuart z właściwą sobie swobodą:

— A więc udało nam się wreszcie znaleść Leonorę Armyn.

— Przecież będzie można wymierzyć należytą karę morderczyni Franka Arteveldta — rzekł dr. Hale.

— O tak, niezawodnie. Morderczyni Arteveldta będzie ukaraną, a Leonora Armyn uwolnioną od krzywdzących ją podejrzeń.

— Co pan mówi? — zawołał dr. Hale zdumiony i wpatrzył się w Stuarta, jakby mu to, co teraz słyszał, wydało się snem, albo niewczesnym żartem.

— Tak, panie doktorze, Leonora Armyn jest równie niewinną morderstwa Franka, jak i my obaj.

— Ależ takie wyraźne poszlaki!

— Oparte na płytkich pozorach, a nie na głębszem zbadaniu natury psychicznej mniemanego złoczyńcy.

— Więc któż jest tym zbrodniarzem?

— Zaraz opowiem. Proszę o cierpliwość, bo rzecz długa: Po owej nieszczęsnej nocy wszyscy uparli się posądzać Leonorę Armyn o spełnienie morderstwa Muszę tu powiedzieć z wielkiem zadowoleniem, że ja jeden nie podzielałem tej opinii. Panny Leonory Armyn nie znałem wcale, nie widziałem nawet, ale i z opowiadań i ze sposobu jej postępowania przekonałem się, że to osoba uczciwa, dzielna, szczera, odważna. Już so samo, że tak bardzo odczuła wyrządzoną sobie przez Arteveldta zniewagę, wskazuje jasno, że do czynu skrytego, podstępnego nie byłaby zdolną. Mógłbym raczej w to uwierzyć, że mogłaby jawnie, bez trwogi, w uniesieniu gniewu zastrzelić kogoś, a może i zasztyletować, ale nie uczyniłaby tego skrycie, z rozmysłem, w sposób zdradziecki.



Wszyscy weszli równocześnie, trzymając rewolwery w ręce.

Czytałem jej listy pisane do przyjaciółki i te najwyraźniej świadczyły, że Leonora Armyn ma charakter szlachetny, nawet wzniosły. Jest w jej naturze bardzo wiele owej szlachetnej dumy, która bywa zwykle najdzielniejszym sprzymierzeńcem uczciwości.

To wszystko nie pozwalało mi pogodzić się z tą myślą, aby taka osoba dopuściła się skrytobójczego morderstwa. Oglądając zwłoki Arteveldta widziałem dokładnie, że cios śmiertelny musiał wyjść z ręki bardzo wprawnej i już doświadczonej. Nie można przypuszczać, żeby osoba, która nigdy żadnej zbrodni nie popełniła, mogła była zadać cios tak dobrze obliczony, będąc przecież niesłychanie wzruszoną tem wszystkiem, czego doznała w czasie biesiady weselnej. Czyniąc różne poszukiwania stwierdziłem, że owej nocy, w której mord popełniono, otwarte było przejście z willi Arteveldta do domu sąsiedniego, wówczas jeszcze niezamieszkałego.

Owo przejście tworzy oszklony ganek. Zbrodniarz dostał się więc niepostrzeżenie z pustego domu przez oszklony ganek do sypialni Arteveldta. Przeglądając papiery zamordowanego, znalazłem w nich listy, które dowodzą, że jest w Chicago pewna kobieta, wobec której Arteveldt zaciągnął jakieś erotyczne zobowiązania, a ona prośbą i groźbą domagała się ich spełnienia. Dowiedziawszy się, że Arteveldt ma zamiar żenić się z Leonorą Armyn, była tak oburzoną, iż czyniła nawet nie licujące z jej stanowiskiem zabiegi, aby temu przeszkodzić.

Te listy były dla mnie nicią przewodnią do szukania prawdy i dopóty tej prawdy szukałem, aż ją znalazłem; dopóty szukałem dowodów, aż ich pod dostatkiem zebrałem i teraz z zadowoleniem powtarzam, że Leonora Armyn niewinna, a morderczynią jest inna kobieta.

— Któż taki? — zapytał dr. Hale nadzwyczaj zaciekawiony.

— Laura Durand, adoptowana córka tego oto pana — odpowiedział Stuart poważnie i spokojnie.

Adwokat zerwał się z miejsca i spojrzał na mówiącego z takiem osłupieniem, jakgdyby usłyszał rzecz wprost niemożliwą. Stuart mówił dalej z tym samym spokojem.

— Wierzajcie mi panowie, że ja sam zdumiewałem się nie mniej od was, gdy tę przewrotną kobietę udało mi się zdemaskować. Ile to trzeba było czynić zabiegów, ażeby dotrzeć do dna tej zbrodniczej duszy. Zwolna, stopniowo utrwalałem swoje domysły, zbierając poszlaki a potem i dowody. I oto mam dowody, że tak zwana panna Laura ukradła dwadzieścia tysięcy dolarów z biurka pana Duranda, że swoją dobrodziejkę, która ją za córkę przybrała, chciała pozbawić życia, podsuwając jej w różnych formach truciznę. Na szczęście odkryłem to wcześnie, ostrzegłem pana Duranda i tym sposobem zapobiegliśmy zbrodni. Tak zwana panna Laura Durand zamordowała też Arteveldta. Udało mi się przypatrzeć jej korespondencyę z Arteveldtem. Przejrzałem też wszystkie jej szkatułki, kufry, szafki i znalazłem tam bardzo ciekawe rzeczy.

Przedewszystkiem klucze, któremi można było otwierać wszystkie drzwi willi, przytykającej do willi Arteveldta. Tymi to kluczami posłużyła się, ażeby z owej pustej wówczas willi dostać się przez szklany ganek do sypialni zamordowanego. Znalazłem też ciemny płaszcz w jednem miejscu udarty, z tego samego materyału, którego oddarty skrawek pewnego razu Nelly Brown jej pokazała, Ten skrawek Laura wraz z portmonetką swej przyjaciółki zabrała.

Znalazłem też zakrwawiony, wąski a cienki sztylet. Płaszcz, sztylet i klucze były schowane w torebce podróżnej. Wyjąłem je z torebki, zapełniwszy ją czem innem. Pewnego dnia zaraz o świcie, Laura Durand wziąwszy torebkę, wyszła prędko z domu i pospieszyła nad brzeg rzeki. Poszedłem za nią niepostrzeżenie i widziałem, jak ową torebkę do wody rzuciła. Oczywiście nie zaglądała widać do niej i nie wiedziała, że wrzuca do wody niepotrzebne szpargały.

Dlatego widać pragnęła owego poranku usunąć i płaszcz i sztylet i klucze, że właśnie dnia poprzedniego Nelly Brown pokazywała jej oddarty skrawek płaszcza i groziła zdemaskowaniem. Milczenie dawnej swej przyjaciółki i opiekunki okupywała znacznemi ofiarami pieniężnemi, ale wymagania owej panny stawały się coraz większe, więc Laura Durand chciała swoją towarzyszkę uczynić nieszkodliwą i pomogła do tego, że odkryto bandę fałszerzy monet, do której towarzyszka panny Durand należała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Podarunek dla cesarza Wilhelma.

(Do illustracyi na stronie 4.)

Przed kilku dniami cesarz Wilhelm, będący szefem honorowym, czyli, jak się mówi pospolicie, „właścicielem“ rosyjskiego Wyborgskiego pułku piechoty, przyjął deputacyę tegoż pułku, która wręczyła mu obraz, namalowany przez francuskiego artystę prof. Roubeaud.

Obraz ten, wielkich rozmiarów, przedstawia chwilę, gdy pułk pomieniony wykonał z szaloną odwagą atak na pozycye japońskie w bitwie pod Sikwantung, uwieńczony powodzeniem, które tak rzadko towarzyszyło orężowi rosyjskiemu w czasie ostatniej wojny z Japonią.

Odnośna rycina, jaką podajemy w dzisiejszym numerze, przedstawia deputacyę rosyjską podczas, gdy bawiła w Berlinie i dała się fotografować w towarzystwie przydzielonego jej Prusaka.

Jest jeden szczegół charakterystyczny na tym obrazku: niejako gospodarz, Prusak, usiadł pośrodku, na miejscu honorowem wśród swych gości, oficerów rosyjskich, wyższych od niego rangą. Na podobny nietakt, zdradzający zupełną nieświadomość zarówno zasad gościnności jak i kardynalnych prawideł towarzyskości, może zdobyć się tylko potomek Krzyżaków. Zdaje się jednak, że wobec dzisiejszych konjunktur politycznych i tę małą, choć gorzką pigułkę, musieli oficerowie rosyjscy połknąć z dobrą miną.

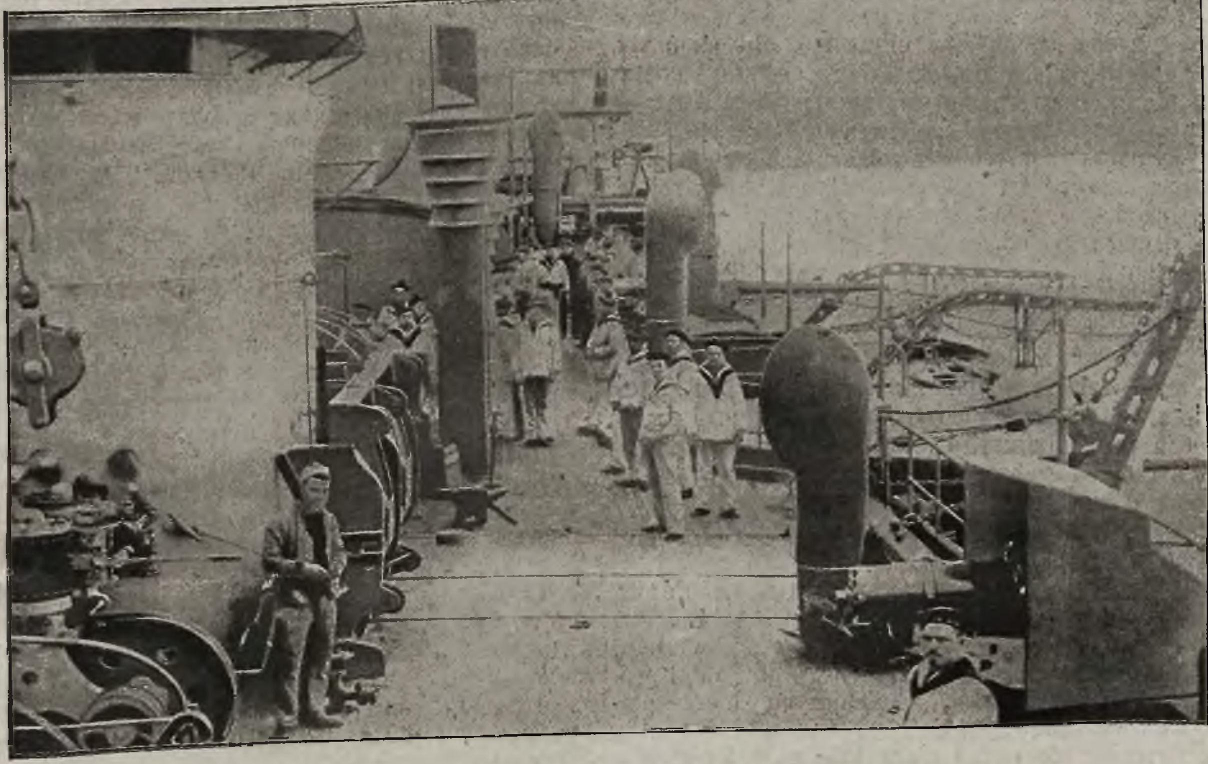
Wybuch na pancerniku.

Wstrząsające naprawdę wrażenie na całym świecie wywarła śmierć bez mała 200 oficerów i marynarzy francuskich, którzy zginęli w czasie wybuchu na pancerniku „Jena“ w porcie tulońskim. W dniu 12 b. m. cała prawie załoga „Jeny“ w liczbie 600 ludzi zgromadzoną była wewnątrz statku i słuchała wykładu jednego z oficerów o obchodzeniu się z materyałami wybuchowymi. Już było blisko południe; za chwilę rozledz się miały sygnały, zwołujące załogę na pokład, celem odbycia apelu i ceremonii wywieszania flagi, gdy wtem okropny huk wstrząsnął całym pancernikiem. Za kilka sekund nastąpiła druga, później trzecia, czwarta itd. eksplozya w tylnej części statku. Przestrzeń, gdzie była zgromadzona załoga, wypełniły trujące gazy; rzucono się do ucieczki. Niestety, było późno. Wielu marynarzy odniosło okropne poparzenia, inni podusili się od gazów, inni znów ponieśli śmierć, skacząc z pokładu na dno suchego doku, w którym właśnie znajdowała się „Jena“, aby poddać się pewnym naprawom swych maszyn...

Jedynym ratunkiem dla zagrożonego statku, który, nawiasem mówiąc cały był zbudowany z żelaza i stali, było zanurzyć go w wodę. Jeden z dowódców statków, jaki stały w porcie, spostrzegł to i celnym strzałem granatu, z odległości 500 m. wybił wrota od suchego doku i woda wpłynęła. Udało się reszcie załogi uratować przez zalanie okręt, którego zbudowanie 60,000.000 franków kosztowało, a który dopiero w r. 1901 wypłynął na fale morskie.

Teraz łamią sobie głowy specyaliści i laicy nad tem, co było powodem owych fatalnych wybuchów, jakie zaszły na „Jenie“. Jedni twierdzą, że była tu w grze zbrodnicza ręka, która podłożyła ogień w składzie amunicyi, znajdującym się na każdym statku wojennym, inni zaś są zdania, że eksplozya spowodowaną została przypadkowym wybuchem pocisku torpedowego, z których każdy posiada „kamerę“ ze ścieśnionem powietrzem. Najpoważniejsze jednak i najwięcej powołane do ocenienia tego smutnego faktu głosy techników podnoszą, że przyczyną, która go wywołała, nie było nic innego, jak „samozapalenie się“ prochu, używanego do wypełniania pocisków armatnich, a posiadającego olbrzymią siłę rozrywającą.

Dopiero w ubiegłą sobotę odbył się pogrzeb ofiar katastrofy, w którym wzięli udział oprócz najwyższych dostojników marynarki: prezydent rzeczypospolitej Fallières, prezydent gabinetu Clémenceau, minister wojny gen. Picquart, minister marynarki Thomson oraz duchowieństwo katolickie — co wobec dzisiejszych stosunków we Francyi, jest faktem znamiennym.



Wybuch na pancerniku: Pokład pancernika »Jena« z załogą, która zginęła w katastrofie.



Wybuch na pancerniku: Kapitan statku »Jena«, który zginął w katastrofie.

Głód w Chinach.

(Do illustracyi na str. 16).

Największe państwo i największy kraj na świecie, Chiny, cierpią na powtarzające się peryodycznie klęski głodowe, w czem zachodzi między niemi a Rosyą duża analogia. I tu i tam, w okolicach, posiadających najżyźniejsze grunta, wybuchają takie klęski, które pociągają za sobą tysiące ofiar w ludziach.

Obecnie znów panuje głód straszliwy w prowincyi Suchiew, gdzie ćwierć miliona ludzi skazanych jest dosłownie na śmierć głodową. Niedołężny rząd chiński nie jest w stanie zapobiedz temu stanowi rzeczy, a tem mniej usiłowania osób pojedynczych mogą coś zdziałać w kierunku ulżenia tej strasznej nędzy. Rzecz prosta, że wobec takiego głodu stosunki bezpieczeństwa w Chinach i tak już wiele zostawiające do życzenia, nawet w latach urodzaju, teraz są wprost okropne. Bandytyzm uprawia się tam w sposób zastraszający, a walka o byt odbywa się w całej srogości. Dzieciobójstwo, ta prawdziwa plaga narodu chińskiego, przybrało tam, wedle doniesień misyonarzy, rozmiary wprost przerażające.

Interesująca rycina, którą podajemy w dzisiejszym numerze, przedstawia chwilę, gdy z magazynów rządowych zgłodniałej ludności wydawany zostaje ryż, to jedyne prawie pożywienie Chińczyków. Jak widać na tej fotografii, to wydawanie przypomina raczej rabunek, tak niecierpliwie wyciągają się ręce zgłodniałej rzeszy ku zbawczemu posiłkowi.

A jednak ci biedacy będą długo czekać na rozdział tego nieszczęsnego ryżu, bo władze miejscowe wcale nie odznaczają się delikatnością wobec umierających z głodu. Policyanci chińscy umieją równie zgrabnie, jak kozacy rosyjscy, używać swoich warkoczy, zamiast nahajek. Nadzieje zaś na przyszłoroczny urodzaj ryżu są bardzo ..., bo jak wiadomo, ryż rodzi się tylko wówczas, gdy następują wielkie opady atmosferyczne, a tego roku nie było ich właśnie w Chinach środkowych, będących spichlerzem całego kraju.



Wybuch na pancerniku: »Jena« w suchym doku po katastrofie.

Kronika tygodniowa.

Gdyby komu polecono skrupulatnie i szczegółowo prowadzić kronikę tygodniową europejską, dając mu na to do rozporządzenia koło 200 wierszy, to w ostatnich tygodniach musiałby je zapełnić samemi katastrofami na lądzie i morzu. Taka żałobna kronika byłaby nawet na czasie, bo kiedy, jak nie w wielkim poście należy myśleć o znikomości rzeczy ludzkich i o tem, że z prochu powstawszy, w proch się obrócimy. Na szczęście kronikarz „Nowości“ nie jest kronikarzem Europy, a choć mu do niej zaglądać wolno i należy, może przecie wybierać sobie, co mu się podoba, a więc może unikać wszelkich katastrof, a tem samem uniknąć i katastrofy... niezadowolenia Czytelników. Można bowiem przypuszczać, że Czytelnicy, mając po uszy okropności w dziennikach i illustracyach, spotkawszy się jeszcze z niemi w kronice tygodniowej, zawołaliby z irytacyą: przez Bóg żywy! nawet felietonista występuje w roli płaczka i chce nas mordować katastrofami — a kysz, a kysz!

A jednak mimo przekonania o antikatastrofowem usposobieniu Czytelników, nie mogę pominąć milczeniem jednej z najświeższych, na szczęście więcej zabawnej, niż bolesnej, choć mało brakowało, aby się stała jedną z najboleśniejszych, a bezpośrednio i nasze społeczeństwo ciężko dotykających. Zapewne Czytelnicy domyślają się, że chcę mówić o zawaleniu się powały w Dumie rosyjskiej. Gdyby to zawalenie się nastąpiło o kilka godzin później, zginęłaby połowa członków Dumy a w tej połowie większa część polskiej delegacyi. Los nam oszczędził tej „próby“ — i dziś z uśmiechem możemy mówić o tej wspaniałej illustracyi do rosyjskiej gospodarki biurokratycznej...

Na odnowienie pałacu Taurydzkiego wydano 1,000.000 rubli i nie znaleziono w tej olbrzymiej sumie pokrycia na wzmocnienie sufitów, choć w sferach znawców wiedziano dobrze, że są one „niepewne“. Potrzaskane fotele i pulpity wydały przypadkowo „sekret“ restauratorów; pokazało się bowiem, że były one tylko politurowane na dębowo, wykonane zaś z osiczyny, pomimo tego, że za fotel płacono 180 rubli. Wykrycie tego sekretu pozwala przypuszczalnie ocenić, ile z owego miliona zaoszczędzili dla siebie pp. restauratorzy i dostawcy. „Sufit w pałacu Taurydzkim — pisze jeden z petersburskich publicystów — zawalił się z tych samych powodów, z jakich wali się dzisiejsza Rosya, a powodom tym na imię: kradzieże i niedbalstwo“. Wskutek nich „zawaliła“ się Mandżurya, zawalił się Port Artura, zawaliła się flota Rożestwieńskiego i Niebogatowa...

Można sobie wyobrazić, w jakim nastroju odbyło się posiedzenie Dumy w drugiej sali pałacu Taurydzkiego. Szczegóły są znane z telegramów, więc ich nie powtarzamy. Zasługuje jednak na przytoczenie pominięte przez nasze dzienniki odezwanie się posła suwalskiego Bułata. Jest to socyalista i jeden z tych dwu Litwinów, którzy wyszli z urny w Królestwie Polskiem. Widząc, że posłowie mimowoli spoglądają na sufit tej drugiej sali, uderzył on w struny patryotyzmu rosyjskiego, „Na Rosyę (mówił) spadały większe nieszczęścia. Rosya umie wychodzić z prób zwycięsko...“ Patryota!

Gdyby nie było w ostatnim miesiącu tylu katastrof, tygodniowy kronikarz „europejski“ musiałby zapełnić całą swą kronikę strajkami. W Paryżu wskutek nich panowały ciemności, w Wiedniu nie było pieczywa, w Moskwie stanęły tramwaje, nawet u nas w Krakowie zastrajkowała służba szpitalna. Z powodu strajku paryskiego odbyła się charakterystyczna wymiana zdań między dwoma towarzyszami broni, a mianowicie: przywódcą socyalistów Jaurèsem i prezesem ministrów Clemenceau, który zawsze należał do skrajnej lewicy i nie tail się z gorącą sympatyą dla socyalizmu. Kiedy strajk 550 robotników towarzystw elektrycznych pogrążył „stolicę światła“ w ciemnościach, rząd użył oddziału saperów wojskowych dla przywrócenia miastu oświetlenia. Jaurès interpelował przeto prezesa gabinetu, jakiem prawem rząd ośmielił się to uczynić, tem więcej, że Clémenceau poprzednio oświadczył, iż rząd do strajku mieszać się nie będzie, strzegąc tylko zachowania porządku. Odpowiedź była bardzo charakterystyczna. „Nie chcę — mówił Clémenceau — nadużywać przewagi, jaką mi daje nad moim szanownym przeciwnikiem zwykły rozum, zwykły rozsądek ludzki. Jaurès uważa strajk za wojnę, ale w tej wojnie niewinni przechodnie ponoszą szkody... Czy nie powinienem był rozważyć, że w ciemnościach może być narażone bezpieczeństwo Paryża (o dzikich scenach, jakie się rozgrywały, podają szczegóły dzienniki)... Posłałem saperów na zasadzie prawa społeczeństwa, które posiada prawo do istnienia, prawo do życia. Według teoryi Jauresa społeczeństwo nie powinno się bronić, kiedy mu odbierają możność zaspokojenia najważniejszych potrzeb społecznych jak światło, gaz, woda, chleb. Czy p. Jaurès znióslby, aby dzieci jego przez czas nieokreślony na cześć jego teoryi pozostały bez pożywienia? Czy w razie lokautu fabrykantów nie żądałby z tej trybuny, aby państwo wzięło w swe ręce odpowiednie gałęzie produkcyi?...“

Sprawa postawiona jasno. Są strajki a strajki. Jedne nie grożą nieszczęściem społeczeństwu, są tylko wojną wypowiedzianą kieszeniom kapitalistów, a „przechodniom“ co najwyżej sprawiają niewygodę — przez drugie cierpieć może całe społeczeństwo, pozbawione koniecznych środków do życia lub oddane na pastwę szumowin. Więc też należy inaczej traktować pierwsze, a inaczej drugie...

Wątpić należy np. czy społeczeństwu zaszkodzi co strejk w wiedeńskich damskich pracowniach krawieckich. Prawda, że strojnisie srodze „cierpieć“ będą, jeżeli przedłuży się to bezrobocie. Ale natomiast można śmiało przypuszczać, iż ojcowie, a zwłaszcza mężowie puchów marnych, błogosławią inicyatorów i inicyatorki tego strejku i w głębi duszy życzą sobie, aby nigdy się nie skończył. Nie dziwiłbym się nawet, gdyby ci tyrani postarali się o rozszerzenie strejku na całą Austryę. Sam znam jednego niegodziwca w Krakowie, który zamierza sekretnie zwołać wiec małżonków i zaproponować im zbieranie składek na strejkujące spódniczarki, staniczarki, hafciarki, rękawiarki, dziurkarki i jak się tam inaczej te panny w terminologii krawieckiej nazywają. Tak to, co dla jednych jest nieszczęściem, dla drugich jest radością, co tyranizowanym gorzkie łzy wyciska, to „tyranów“ w dobry humor wprawia, czego połowice i żeńskie pociechy obawiają się jak końca świata, o tem mężowie i ojcowie marzą jak o szczęściu, a przynajmniej o chwilowem spędzeniu troski z głów posrebrzonych i wyłysiałych przy ciepłe ognisk domowych.

A kiedy mowa o „męczennikach miłości“ wspomnieć wypada, że takim męczennikiem, choć w innem znaczeniu, miał być zmarły Casimir Périer, były prezydent rzeczpospolitej francuskiej. Łamano sobie głowy, dlaczego przez nikogo nie zmuszony, po kilku miesiącach opuścił dobrowolnie fotel prezydenta. Takich stanowisk wybitnych, dobrze płatnych, zadawalających ambicyę, jest zaledwie kilka na świecie, nie licząc naturalnie głów koronowanych, co „z Bożej łaski“ stoją na czele państw tego świata. Wątpię, czy nad brzegami Sekwany Loary, Garonny itd. znajduje się choć jeden obywatel, któryby nie chciał „służyć ojczyźnie“ jako prezydent rzeczpospolitej. A Casimir Périer nie chciał. A nie chciał podobno dlatego, że prezydentura przeszkadzała mu w swobodnem rozporządzaniu prawami serca. Miał podobno stosuneczek z piękną żoną jednego z deputowanych i dobrze mu było w tym stosuneczku, póki nie został prezydentem. Lecz kiedy nim został, policya taką opieką otoczyła głowę państwa, że ta biedna „głowa“ nie mogła, bez uniknięcia skandalu, spoczywać od czasu do czasu na łonie ukochanej. Schadzki z nią stały się niemożliwe. Serce zwyciężyło — Périer wolał rozstać się z prezydenturą, aniżeli z dzierżawczynią swego serca. Piękne panie mają jeden dowód więcej, do jakich poświęceń dla umiłowanej kobiety zdolny jest mężczyzna. Choć mi się zdaje, że jest to plotka, ubliżająca pamięci Périera.

W swoim czasie przytaczano ważne powody, które zmusiły Périera ustąpić z prezydentury; nie chciał podobno osobą swoją osłaniać brzydkich matactw politycznych — między innemi miał być oburzony wykradzeniem i zużytkowaniem listu cesarza Wilhelma w sprawie Dreyfusa. Rezygnacyę jego przypisywano porywom szlachetności, uchylano czoła przed jego charakterem. To, że się całkiem usunął z widowni politycznej, potwierdzało słuszność domysłów. Więc też ów „romansik“ wydaje się niesmaczną insynuacyą, rzuconą na grób nieposzlakowanego bądź co bądź człowieka. Francuzi nie są tak delikatni, za zbyt lubią skandaliki, aby przez kilkanaście lat milczeli o tym niebiesko czy czarnookim powodzie rezygnacyi Périera. Z jakąż rozkoszą byliby roztrąbili po świecie tę miłostkę; cały świat wiedziałby, jak się ten blondynowy, szatynowy czy kruczowłosy powód nazywa i jak wygląda.

Cóż się zresztą dziwić, że jakiś skryba z „bohatera charakteru“, za jakiego Périer uchodził, zrobił spódniczkowego błazenka, kiedy taki pisarz, jak Björnstjerne Björnson z błaznów robi bohaterów. Pisarz ten, nie mając najmniejszego pojęcia o naszej historyi i o stosunkach galicyjskich, zabrał głos w „Courrier Européen“, przedstawiając Rusinów jako ofiary, a Polaków jako „hakatystów-siepaczów“. Uwięzieni hajdamacy przesłali mu kartkę z podpisami. Więc im dziękuje w „Ukrainische Rundschau“, za ten „honor“, przesyła im „wyraz podziwu“ pisze o „nieludzkim rządzie polskim“, oświadcza, że podniesie znowu sprawę Rusinów i ich „odwiecznych gnębicieli“ Polaków. Wyraźne rozrzedzenie mózgu u starca, ogarniętego megalomanią. I znajdą się tacy, co się będą powoływali na jego opinię, tak dziś, jak po latach wielu. Raz rzucone kłamstwo, choćby najbezczelniejsze, odnawia się ciągle, bo zawsze znajdzie łatwowiernych. „Voila comme on écrit l' histoire!“

Ba! pan Petryćkij przed kilku tygodniami odkrył „wielkiego księcia Ukrainy“ w osobie hetmana kozaczyzny Jana Wyhowskiego, którego Czarniecki rozstrzelać kazał, niesłusznie podejrzywając go o zdradę. Pan Petryćkij proponował prochy hetmańskie odszukać i przewieźć w tryumfie do Lwowa. Ale historya powróciła cześć Wyhowskiemu, o czem p. Petryćkij nie wiedział. Historya powiedziała, że był to wierny sojusznik Polski, dobry syn Rzeczpospolitej. Więc kiedy o tem objaśniono p. Petryćkiego, stała się zabawna historya. Pan Petryćkij odwołał „wielkiego księcia Ukrainy“, nie chce już szukać prochów człowieka, który „był wielkim gałganem, który hadziackim traktatem zaprzedał Ukrainę Polakom“. Po raz drugi: „voila comme on écrit l'histoire“.

Tak się pisze historya — posłuchajmy teraz, jak się piszą recenzye muzyczne:

Przed paru tygodniami występowała w Krakowie opera dzieci włoskich. Poważny recenzent „Czasu“ tak pisał po przedstawieniu: „Cyrulik sewilski“ stał się na parę godzin prawdziwie dziecięcem bawidełkiem, sparodyowany w sposób odpowiednio niedojrzały. O traktowaniu tego z artystycznego punktu nie może być mowy... Wyuczone małe lalki wykrzykują na scenie swoje partye, połykając całe frazy koloraturowe... — robiły one naprzód wrażenie humorystyczne, potem nużące, a nakoniec przykre“.

Pomijamy dalsze ustępy recenzyi, bo już z tego, cośmy przytoczyli, widać, jakie to było „widowisko“. Ale dzieci włoskie zjawiły się w Warszawie — i po „Kuryerkach“ pełno jest zachwytu nad „wielką muzykalnością drużyny, niezwykłem poczuciem frazesu“ itd. itd. „voila comme on écrit“ recenzya muzyczna.

Ciekawa rzecz, jakiego przyjęcia w Warszawie dozna pan Solski, który się do niej wybiera ze swoją trupą na lato. Kraków miał 50.000 mieszkańców i w lecie nie miał teatru — teraz podobno ma 102 000, a z Podgórzem i przedmieściami 150.000 i znów przez lato teatr jego zamyka swe podwoje. Czyby nie można temu jako zaradzić? Czyby może nie należało jakoś tak wyposażyć choćby teatr ludowy, tak jakoś byt jego utrwalić i poziom jego podnieść, aby Kraków nie czuł tej „luki letniej“, która nie odpowiada obecnemu stanowi rzeczy. Ale o tem za drugim razem, bo miejsce na dzisiejszą kronikę tygodniową... wyczerpało się.

Od Administracyi.

Z powodu dobiegającego do końca pierwszego kwartału, przypominamy naszym P. T. Abonentom, że

czas odnowić przedpłatę.

Warunki prenumeraty podane są w nagłówku każdego numeru.

Współpracownik Bismarka.

(Do portretu na stronie 10.)

Przed kilku dniami zmarły, b. niemiecki sekretarz stanu dla spraw wewnętrznych, dr. Bötticher był przez lat siedmnaście, bo od roku 1880 do 1897, jedną z najwybitniejszych osobistości politycznych Rzeszy. Należał on do wiernych sług Bismarka, lecz tylko tak długo, jak długo „żelazny książę“ był u steru władzy. Gdy gwiazda jego fortuny się zaćmiła, dr. Bötticher, podobnie, jak wielu innych satelitów bismarkowskich, odeń się odwrócił.

Przez lat dziesięć był zmarły tem, co Niemcy nazywają: „Sprechminister“, a mianowicie wyręczał Bismarka, jako mówca, w parlamencie Rzeszy i w Sejmie pruskim wówczas, gdy kanclerz uważał za stosowne samemu nie angażować się w bardzo nieraz drażliwą dyskusyę.

Dr. Botticher urodził się 1833 roku w Szczecinie i już w 1855 roku wstąpił do służby rządowej, w której prawie aż do końca życia, bo do lipca ubiegłego roku, pozostawał, w końcu spełniając funkcye starszego prezydenta prowincyi saskiej. Był zaś, jako dobry Prusak, zaciętym wrogiem Polaków, czego dawał dowody, zwalczając ich zarówno w ciałach parlamentarnych, jak i w zakresie administracyjnym, szczególniej zaś jako fanatyczny ewangielik prześladował, gdzie tylko mógł, katolików.

Katastrofa w pałacu Taurydzkim.

Spodziewano się wszystkiego, wyobrażano sobie, że druga Duma rosyjska za przykładem pierwszej zostanie rozwiązaną, rozpędzoną... Ale nikt nie przypuszczał, żeby w posiedzeniach tego nowego parlamentu zaszła przerwa z powodu... zawalenia się powały w gmachu obrad. I nie był to wcale zamach, tylko wynik karygodnego niedbalstwa architekta nadwornego, któremu powierzono kosztowną restauracyę pałacu Taurydzkiego. Powała, nie odnawiana jeszcze od czasów Katarzyny II. i Potemkina, była tak nędzną, że nie wiele było potrzeba, by runęła na salę posiedzeń. A tymczasem nie zbadawszy nawet trwałości starego sufitu, umieszczono na nim dwie dynamo maszyny do wentylacyi, które znajdując się w ruchu, wywoływały ciągłe wstrząśnienia sufitu. Cały plafon zajmuje 200 kwadr. sążni. Z tego 100 runęło przed kilku dniami nagle z wysokości 20-metrowej. Ciężkie cementowe sztukaterye i połamane deski i belki pogruchotały 267 krzeseł poselskich. Stało się to szczęściem wczesnym rankiem. Gdyby sufit był się zawalił podczas posiedzenia, co najmniej 300 posłów byłby zmiażdżył na miejscu. Jeden z polskich dziennikarzy w ten sposób opisuje pierwsze wrażenie, gdy znalazł się w nawiedzonej katastrofą sali w parę godzin po wypadku (o którym Czytel-



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Prezydyum Dumy: Od lewej ku prawej stoją: Światłowskij, Kartaczew, Czelnokow, Maksudow, Sołtykow, Babawardze; siedzą: Poznańskij, Gołowin (X), Bierezin, Uspieńskij.



Fot. A. Drankow w Petersburgu.

Katastrofa w pałacu Taurydzkim: Widok sali posiedzeń Dumy po zawaleniu się powały.

nicy nabiorą najlepszego pojęcia z załączonych w numerze niniejszym fotografij).

„Obraz jest fatalny. Prawie cały sufit zwalił się na ziemię, zasypując gruzem i deskami ławy poselskie. Tylko naokoło sufitu pozostał pas nietknięty. Z ogromnej jamy w suficie wystają połamane deski, kawałki trzciny, nawet tu i ówdzie zgniła belka. Żyrandol potężny, wiszący u samego środka, pogięty okrutnie, częściowo połamany. Żyrandol z lewego boku pogięty i z jednej strony strzaskany, z innych boków tylko pogięty. Ławy poselskie pokryte grubą warstwą gruzu, trzciny, desek i szarego pyłu. Początkowo zdaje się, że wszystkie są połamane. Powoli wynurzają się szczegóły zniszczenia. Widzę przedewszystkiem, że ocalały zupełnie ławy ministrów i członków rady państwa, fotele członków prezydyum i obie loże dziennikarskie (dolne). Gdyby katastrofa zdarzyła się w czasie posiedzenia, tylko osoby siedzące na wyszczególnionych wyżej miejscach, byłyby zupełnie bezpieczne.

Najgorzej przedstawia się lewa część Izby. Na nią zawaliła się największa część sufitu. Wszystkie ławy skrajnej lewicy i Polaków zasypane są grubą warstwą gruzu i szczątkami desek. Niektóre krzesła zupełnie potrzaskane. Oglądam szczegółowiej miejsca, zajmowane przez naszych posłów. Okazuje się, że tylko dwa frontowe, bezpośrednio do wzniesienia prezydyalnego przytykające krzesła nie ucierpiały prawie zupełnie. Należą one do prezesa i wiceprezesa Koła polskiego, Dmowskiego i Harusewicza. Wszystkie inne są zmasakrowane. Fotel posła siedleckiego, Błyskosza, połamany; fotel posła płockiego. Konica, strzaskany. Gdyby katastrofa zdarzyła się o kilka godzin później, oprócz dwu pierwszych, ani jeden z naszych posłów nie uszedłby cało, a może nawet żywcem. Nielepiej przedstawia się środek sali. Tu zasiadają zwykle kadeci. Ich ławy są także pokryte warstwą gruzu i belek, pod któremi nie widzę, jakiemu one uległy zniszczeniu. Z pewnością wszakże spadek nie był tu mniejszy, niż na lewicy. Względnie cało wyszła tylko prawica, ale wyłącznie skrajna. Ławy bowiem październikowców i postępowców także są zasypane szczątkami sufitu".



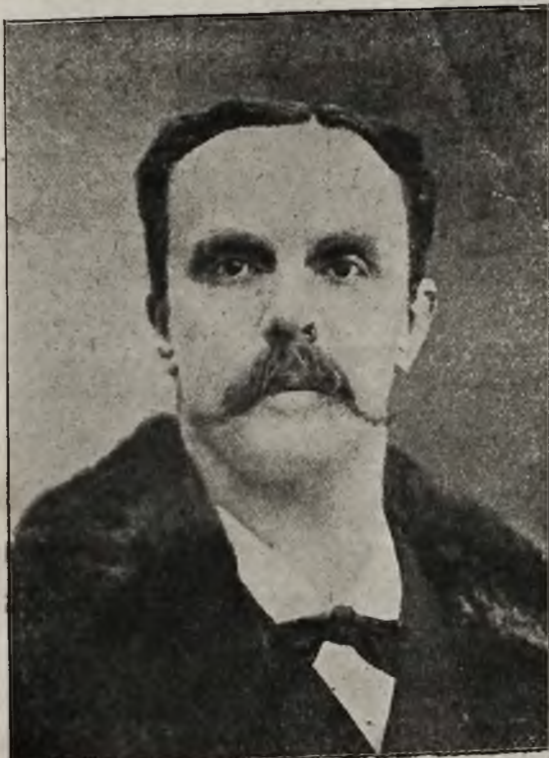
Głód w Chinach: Rozdzielanie ryżu umierającym z głodu Chińczykom.



Katastrofa w pałacu Taurydzkim: Widok sali posiedzeń Dumy po zawaleniu się powały. Fot. A. Drankow w Petersburgu

Śmierć piątego prezydenta Francyi.

Przyjemnie, bardzo nawet przyjemnie jest piastować władzę, ale niestety i ona staje się niekiedy ciężarem dla tych, których ją obarczono.



Smierć piątego prezydenta Francyi: Casimir-Perier, były prezydent republiki.

W miarę zaszczytów i wysokiego stanowiska wzrastają obowiązki, oraz następuje silne skrępowanie osobistych ruchów danego, wysoko postawionego osobnika.

Doświadczył tego na sobie świeżo zmarły w wieku lat 60 były prezydent rzeczypospolitej francuskiej, Jan Paweł Piotr Casimir Périer. Pochodził on z bogatej rodziny mieszczańskiej, która dała F... i dwóch ministrów, jednego za czasów ostatniego króla francuskiego, Ludwika Filipa, drugiego zaś za czasów trzeciej rzeczypospolitej, a który to właśnie był ojcem świeżo zmarłego ex-prezydenta.

J. P. P. Périer, ukończywszy ze znakomitym postępem studya szkolne, miał sposobność odznaczyć się w latach 1870/71, jako kapitan gwardyi ruchomej w walkach przeciw Niemcom. Wkrótce po tej wojnie, jego ojciec, sprawujący funkcye ministra spraw wewnętrznych, wziął go do ministeryum, gdzie niezadługo awansował na szefa gabinetu. Dopiero jednak w 1876 wszedł do Izby posłów, której prezydentem został w styczniu 1893. pracując poprzednio jako podsekretarz stanu w ministeryach oświaty i wojny. Niedługi czas był prezydentem gabinetu, który upadł po kilku miesiącach istnienia. Bardzo prędko jednak, bo tylko w miesiąc po złożeniu prezydentury ministeryalnej, powołany został przez Kongres na stanowisko „pierwszego obywatela" Francyi, to jest jej prezydenta, po zamordowaniu Carnota.

Zdawało się wtedy, że ten mężczyzna w sile wieku, ogromnie bogaty, przystojny, o dużem wyrobieniu politycznem, o pozornie bardzo uregulowanych stosunkach rodzinnych, o tradycyach familijnych, które jakby wskazywały na niego, jako na pierwszego dostojnika Francyi republikańskiej powołany jest pozostać czas dłuższy na krześle prezydenckiem. Tymczasem stało się inaczej. Najniespodziewaniej bowiem, po sześciu miesiącach rezydowania w pałacu Elizejskim, dnia 15 stycznia 1895 roku, Casimir Périer pod błahym pozorem napaści, jakie przeciw niemu skierowali socyalistyczni posłowie, Gérault-Richard i Millerand zrezygnował z zajmowanej posady, będącej „least not lest", jedną z nienajgorszych w Europie.

Zachodzono wówczas w głowę, co mogło spowodować Casimir-Périera do tego, bądź co bądź zagadkowego kroku?.... I cóż się pokazało?... Jak zwykle, w grę wchodziła kobieta. Ów bowiem wzorowy małżonek miał nader bliskie stosunki z pewną zamężną damą. Ponieważ zaś policya francuska uważała się obowiązaną do bacznego czuwania nad życiem pana prezydenta i otaczała go zbyt czułą opieką — przeto nie mógł odbywać ze swoją damą częstych schadzek. Nie pozostało mu tedy nic innego, jak zrezygnować z zajmowanej posady, aby dalej módz bawić się idyllą miłosną, skoro namiętność okazała się u niego silniejszą, niż zamiłowanie władzy.

U jego grobu Francya nie może się pozbyć żalu i zawodu, jaki ją spotkał, gdy tak wysoko wyniesiony jeden z jej obywateli nie umiał, czy nie chciał utrzymać się na swem stanowisku.

Wiec urzędników podatkowych.

Dnia 27 lutego odbył się w Kołomyi krajowy wiec galicyjskich urzędników podatkowych. Pomimo bardzo nieprzyjaznych okoliczności, pomimo tęgich mrozów i utrudnionej komunikacyi kolejowej, przybyła na wiec liczna drużyna urzędników podatkowych, niektórzy nawet przyjechali z najdalszych dzielnic kraju, by radzić nad wspólnym losem.

Opłakane położenie urzędników podatkowych jest nadto znane, by potrzeba je po raz setny przedstawiać. Dość powiedzieć, że nawet sfery decydujące, nawet przełożona władza krajowa uznaje słuszność żądań urzędników podatkowych, gdyż na każde ich zgromadzenie wysyła ze swego łona delegata, wybierając przytem osobistości, cieszące się największą sympatyą urzędników podatkowych.

I tym razem krajowa Dyrekcya skarbu na wiec urzędników podatkowych, delegowała referenta ich spraw osobistych, nadradcę skarbu Michała Osadę, którego urzędnicy podatkowi otaczają wielkim szacunkiem, a nawet miłością, dla jego niezwykłych cnót. Również z ramienia władzy krajowej przybyli na wiec lustratorowie urzędów podatkowych, Schaechtel, Szumski i Nawrocki.

Z miejscowych przedstawicieli władz skarbowych byli obecni na wiecu nadradca skarbu Neumann i radca Bier i sekretarz skarbu Liebhard. Bukowińscy urzędnicy podatkowi wysłali na wiec delegacyę złożoną z pięciu członków, która przybyła



Paryż bez światła: Ulica przy blasku pochodni w nocy w czasie strajku w zakładach elektrycznych w Paryżu.

pod przewodnictwem Maksymiliana Eichla, prezesa bukowińskiego towarzystwa urzędników podatkowych.

Po zagajeniu przez starszego poborcę Zwaryczа, który powitał zgromadzenie imieniem miejscowych urzędników podatkowych, zaczęły się rano obrady pod przewodnictwem starszego poborcy Władysława Waltenbergera z Drohobycza.

Po kilku znakomicie opracowanych referatach nastąpiło uroczyste otwarcie sekcyi galicyjskich urzędników podatkowych. Z programu popołudniowego wiecu zasługuje na pochlebną wzmiankę odczyt kontrolora Reicha z Mielca, poruszający kilka nader aktualnych kwestyj.

Przez cały czas wiecu panował bardzo poważny nastrój oraz wzorowy ład w toku obrad i pełen godności ton dyskusyi.

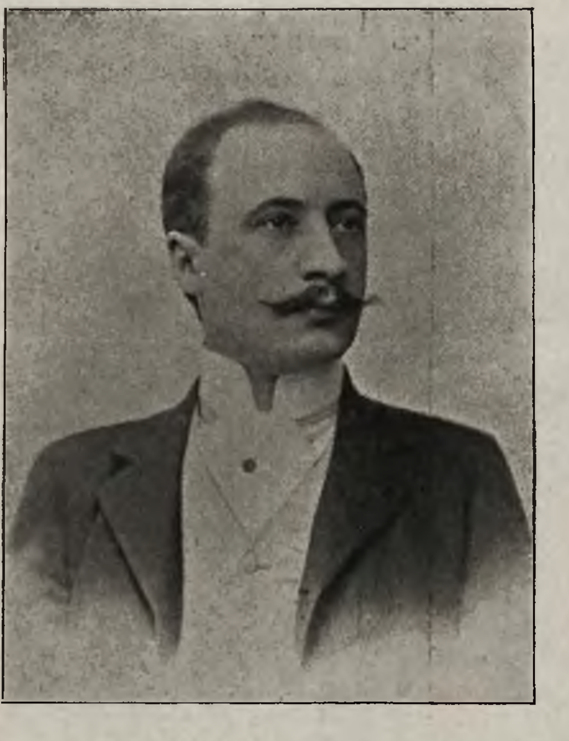


Fot. A. Kübler w Kołomyi

Wiec urzędników podatkowych: Grupa uczestników odbytego w Kołomyi krajowego wiecu galicyjskich urzędników podatkowych.

Paryż bez światła.

Stolica Francyi, miasto, będące według wyrażenia Wiktora Hugo, „miastem światła“, naraz zo-



Zmiana reżyseryi w teatrze warszawskim: Artysta dramatyczny Józ f Śliwicki, ustępujący reżyser »Rozmaitości«.

stało pozbawione tego tak ważnego czynnika, jakim jest w wielkich środowiskach światło elektryczne, oraz siły motorów elektrycznych, poruszające tysiące małych przyrządów, co stanowią podstawę drobnego przemysłu.

Stało się to skutkiem tego, że w epoce generalnych strajków, które szerokimi kręgami obejmują Europę, zaszły także nieporozumienia między robotnikami zakładów elektrycznych, a właścicielami tychże. Łatwo sobie wyobrazić, jakie następstwa taki strajk wywołał. Ulice pogrążone zostały w ciemnościach i oświetlano je za pomocą aparatów acetylenowych. Po bulwarowych pierwszorzędnych restauracyach świece, nieraz wstawiane do butelek próżnych i wydrążonych ziemniaków, zastepowały elektrykę...

Na szczęście wszystko zakończyło się dobrze, dzięki interwencyi paryskiego dyrektora policyi, t. j. prefekta. Właściciele zakładów elektrycznych ustąpili cokolwiek, to samo ustąpili robotnicy i teraz znów Paryż „bawiący się“ skąpany jest w powodziach światła, a Paryż „pracujący“ nie narzeka na brak siły motorowej.

Zmiana reżyseryi w teatrze warszawskim.

Zanim podamy obszerniejsze sprawozdanie z działalności ustępującego reżysera w dziale dramatu i komedyi w teatrach warszawskich p. Józefa Śliwickiego, ograniczamy się dzisiaj na zapisaniu tego faktu, podając zarazem podobizny ustępującego i nowego reżysera.

Został nim p. Władysław Szymanowski, który już kilkakrotnie spełniał czynności kierownika sceny warszawskiej z powodzeniem i doświadczeniem wytrawnego artysty.

Józef Śliwicki w sferach teatralnych i literackich pozostawia po sobie jak najlepsze wspomnienie człowieka bardzo uczciwego i ożywionego niezwykłym zapałem i zamiłowaniem w swej pracy.

Władysław Szymanowski złożył wiele dowodów, że umie podtrzymywać świetną tradycyę sceny warszawskiej i nowym obowiązkom sprostać potrafi.



Zmiana reżyseryi w teatrz: warszawskim: Artysta dramatyczny Władysław Szymanowski, nowy reżyser »Rozmaitości«.

Z lwowskiego bruku.

(Perłowa sensacya w oświetleniu kilku dzienników. — Dom waryatów dla Galicyi zachodniej. — O bydlęcym wniosku i jego motywach. — Nadzieja nauczycieli i beznadziejność lwowskiego obywatelstwa. — Bandyci we Lwowie, a ich brak taktu, oraz kłopoty policyi. — O pożyczce, którą przemilczam i mój szwajggeld).

Była we Lwowie perłowa sensacya, ale dalibóg, że nie wiem, z której strony mam zabrać się do jej opisania i jestem w takim samym mniej więcej kłopocie, co robić z perłami, w jakim znalazł się hr. Szembek, gdy je znalazł w kasynie. Zostaje mi więc przedstawić rzecz ściśle wedle kilku dzienników lwowskich i to będzie dla mnie najlepszem wyjściem z perłowej historyi. A więc oświetlenie wszechstronne:

„Dystyngowane, eleganckie towarzystwo ze świata arystokracyi („Przegląd“) zebrało się na wykwintnem przedstawieniu amatorskiem w kasynie, gdzie od czasu do czasu urządza sobie drogie zabawy za krwawy grosz ludu roboczego burżuazya lwowska („Głos“ socyalistyczny). Pani Bołoz-Antoniewiczowa zgubiła kolię pereł wartości zaledwie kilku tysięcy koron („Przegląd“), za które kilka dziesiąt rodzin robotniczych mogłoby wyżyć przez rok cały. („Głos“) Na sali powstało ogromne zamieszanie i sensacya, a nawet sam Sherlok Holmes („Słowo Polskie“) nie byłby umiał wskazać sprawcy. Przeszukano oczywiście słusznie podejrzanych o znalezienie lub kradzież pereł kelnerów i lokajów („Przegląd“), którzy musieli się rumienić za czyn jakiegoś szlachcica („Głos“). Lecz pereł nie znaleziono. Atoli zaraz nazajutrz („Przegląd“), czy też kilka dni potem („Głos“) zjawił się jakiś młody pan u jubilera Straucha i zaproponował mu kupno pereł („Głos“), a raczej spytał się o ich wartość. („Przegląd“). Jubiler powiadomiony już o zgubie („Przegląd), czy o wstrętnej kradzieży pereł („Głos“), udał się z owym panem na policyę, gdzie ów pan wylegitymował się jako hr. Szembek, wynalazca pereł („Głos“) i wyjaśnił, że tylko jubilera spytał o wartość pereł, ażeby wiedzieć ile ma żądać znaleźnego. („Przegląd“). Komisarz policyi wobec tego natychmiast uwolnić musiał hr. Szembeka („Przegląd“), ponieważ był hrabią („Głos“). Tak to najbardziej zacny człowiek może popaść przez nieostrożność pań w niezawinione podejrzenie żydowskich jubilerów („Przegląd“), chociaż i to dziwnem się nieco wydawać musi, że hr. Szembek nie ogłosił natychmiast podczas ogólnej konsternacyi w kasynie, że znalazł perły, ale aż trzy dni czekał („Głos“ i cała tak zw. opinia publiczna).

Nie badałem sam tej sprawy, więc musiałem korzystać ze źródeł miejscami co prawda rozbieżnych, ale bądź co bądź drukowanych, a więc wiarygodnych.

Niech sobie sam Czytelnik z tej mieszaniny wyciągnie jakieś ziarno prawdy, jeżeli komu na tem zależy, a ja sam pospieszam powinszować Krakowianom nowego nabytku w postaci mającego się urządzić zakładu dla obłąkanych w Krakowie lub blisko Krakowa.

* * *

Wiadomość ta wywołała i we Lwowie bardzo sympatyczne wrażenie, ile że obecnie można będzie częściej korzystać z zakładu w Kulparkowie, który na cały kraj nie mógł wystarczać i dzięki temu bardzo wielu waryatów kręci się po Lwowie bez kagańca, grożąc spokojnej ludności pokąsaniem, zwłaszcza z okazyi zbliżających się wyborów do Rady państwa. Obecnie jednak stosunki się zmienią i gdyby nawet wasz zakład obłąkanych z początku nie cieszył się należytą frekwencyą, możecie liczyć na silne poparcie z naszej strony. U nas waryatów nigdy nie zabraknie. Musicie się jednak postarać zawczasu, ażeby i do waszego zakładu wpuszczano nietylko umysłowo chorych, tj. pospolitych obłąkańców, ale i ludzi o innych zboczeniach umysłowych, jak lepszych złodziei, lepszych defraudantów i wogóle tych wszystkich lepszych ludzi, którym różne względy towarzyskie i familijne nie pozwalają za byle głupstwo iść do kryminału, bo przecież — jak już sam rozum uczy — wykluczonem jest, aby lepszy człowiek zdolny był popełnić jakieś świństwo.

* * *

Zupełnie odmiennego zdania był reprezentant ludu w Sejmie galicyjskim, poseł Brykczyński, który postawił w sejmie wniosek (swoją drogą olbrzymią większością przyjęty) wzywający rząd, aby nie dopuścił do otwarcia granic Rumunii dla importu bydła do Galicyi, co mogłoby przyczynić się do potanienia mięsa. Poseł Brykczyński, o którym mówią i piszą, że swoim wnioskiem pozyskał wdzięczność całego bydła Galicyi, zasługuje na pomnik, a jeden z artystów-rzeźbiarzy wykonał już nawet projekt: poseł jedzie konno na krowie, trzymając w ustach krowi ogon i wygrywa na nim, niby na flecie, jakąś smętną aryę.

Powiadają, że poseł Brykczyński uważa obecnie drożyznę mięsa za mniej piekącą, ile że Sejm właśnie uchwalił podwyższenie płac dla nauczycieli ludowych po kilka koron miesięcznie. Co prawda, kazano im uważać to prowizoryczne podwyższenie "tylko" jako zadatek, obiecując w najbliższych stu latach pójść jeszcze dalej.

Można więc nauczycielom już dzisiaj śmiało powinszować, bo przynajmniej już mają na co czekać. Czekali tak długo, to zaczekają jeszcze sto lat, ale za to jak Pan Bóg pozwoli doczekać, to już coś dostaną na rękę.

Na co jednak ma czekać jaki taki przeciętny obywatel lwowski, któremu nikt nic, prócz podatków i czynszów nie podwyższa, a natomiast wchodzi sobie w biały dzień do jego mieszkania w śródmieściu pierwszy lepszy bandyta, morduje mu sługę lub służącego i zabiera mu ostatni grosz z szuflady. Tak było ubiegłej niedzieli w pasażu Mikolasza a policya lwowska jest już na tropie rozbójników, tj wie już, że jeden z nich prawdopodobnie miał przyprawioną brodę. Resztę trzyma w tajemnicy, tj. sama nic nie wie.

* * *

To jest u nas najgorsze, że zbrodniarze nie zostawiają swego biletu z rysopisem, adresem i krótką biografią a nawet fotografią i potem trzeba ich szukać „dyabli wiedzą gdzie“. W innych miastach zdarza się, że zbrodniarz sam się oddaje w ręce władzy — u nas nigdy! Otóż to nie powinno być! Policya bowiem ma tak bardzo utrudnione zadanie, że prawie nigdy nie udaje jej się wyłapać zbrodniarza.

Obecnie bada policya doprowadzonego do przytomności służącego, a ten przysięga i zaklina się, że zbrodniarze nie dusili go tyle, co obecnie policya. Gdy się jeszcze zważy, ile wydusili z niego bandyci za 10 minut, a jak mało wydobyła z niego policya za tyle dni, dojdziemy do wniosku tak bardzo niepochlebnego dla policyi lwowskiej, że aż o tem pisać nie ładnie.

* * *

Chciałem jeszcze coś wspomnieć o kilkunastomilionowej pożyczce, jaką zaciągnąć uchwaliła nasza Rada miejska, ale z obawy, aby przedwczesnem omówieniem sprawy nie zepsuć gminie kredytu, przemilczam tę sprawę i za to wymawiam sobie „szwajgeld“ płatny w dniu mojej — po długich latach — śmierci, w postaci honorowego pogrzebu I. klasy w miejskim Zakładzie pogrzebowym, który może jeszcze powstanie w wieku bieżącym, albo najdalej w przyszłym, chyba już na „pe“.

Kl.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

12. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

— Ależ nic panie, nic. To ta sama twarz, co w miniaturze na złamanej spince — mówił wciąż do siebie Aleksandrowicz.

— Nie rozumiem pana. To wrażenie, jakiego pan doznaje... czy to może wspomnienie jakiego nieszczęścia?

Aleksadrowicz wreszcie uśmiechnął się, oderwawszy oczy od obrazu i rzekł:

— Zdziwiło to pana? co? Wyobrażam sobie. Nie mogłem opanować radości. Zaraz to panu wyjaśnię, ale przedewszystkiem zapytam, czy pan zna tego malarza, co ten obraz wykonał?

— Znam bardzo dobrze. To młody Szwajcar bardzo zdolny, nazywa się Sailer. Studya u nas robi nad zbiorami szkoły weneckiej.

— Więc jest we Florencyi?

— Jest od kilku miesięcy, a nawet niedaleko stąd mieszka.

— A, jak to wybornie się układa. Czy byłby pan łaskaw zaprowadzić mnie do owego malarza?

— Bardzo chętnie.

— A więc chodźmy.

Aleksandrowicz opowiedział rzecz całą dyrektorowi, który w dziennikach czytał różne szczegóły o morderstwie w Genui, ale nie mógł oczywiście tego wiedzieć, że miniatura na złamanej spince i obraz w galeryi, przedstawiały jednę i też samą osobę.

Sailera zastano w pracowni przy staludze. Miły, uprzejmy, wesoły Szwajcar, młodziutki jeszcze, z zarostem na twarzy dopiero się wysiewającym, przyjął gości wielce rad, bo odpocząć zamierzał, pędzle odkładał, a nie wiedząc, coby teraz robić. Nadzieja pogadanki z gośćmi bardzo mu się uśmiechała.

— Proszę wybaczyć — rzekł dyrektor — że pana niepokoimy. Pan Aleksandrowicz przybywa tu z ramienia policyi genueńskiej, w sprawie kradzieży obrazów, a przy tej sposobności chciałby się czegoś dowiedzieć od pana.

— Proszę tylko pytać i właśnie odkładałem pędzle, gdy panowie weszli. Taka pauza w pracy najprzyjemniejsza, gdy się ją spędzi na pogawędce. Proszę bardzo, zupełnie swobodnie pytać o wszystko.

— Na obrazie pańskim jest twarz dziewczynki, oczywiście z natury zdjęta? — pytał Aleksandrowicz.

— O, tak panie. Malowałem twarzyczkę według uroczego modelu, jaki widziałem przedtem.

— Czy pan zna ową dziewczynkę?

— Niby znam, a właściwie nie znam. Jeżeli panu bardzo na tem zależy, jeżeli się panowie nie znudzicie dość długą historyą, to ją opowiem. Otóż to tak było. Jakoś przed rokiem włóczyłem się ponad jeziorem genewskiem, aby sobie upolować jaki piękny widoczek do obrazu. Rozglądam się, rozpatruję i właśnie miałem usiąść i szkicować, gdy nasunęła się gromadka panien i panienek, z nauczycielkami i starszą, poważną damą. Byłem strasznie zły, bo mi przecięły linię perspektywiczną i przerwały zapęd do roboty. Wpatruję się w nie ze złością, aż tu wpada mi w oczy cudnej urody dziewczynka Takiej nie widziałem jeszcze nigdy i nigdzie. Miała ona ze siedm lat. Cóż to za główka! Takiego modelu nie dostałbym za najdroższe pieniądze. Chciałem tego dzieciaka połknąć oczyma. Zerwałem się, złożyłem teczkę i kasetę i sunę za uroczym modelem. Szedłem krok w krok za tą gromadą W ten sposób dowiedziałem się, że to pensyonat, najsłynniejszy, najpoważniejszy w mieście. Ustroiwszy się, poszedłem następnego dnia do pensyonatu, przedstawiłem właścicielce i tak prosiłem, zaklinałem, aż mi wreszcie pozwoliła odmalować sobie dziewczynkę. Obrazek się udał, więc umieściłem go na wystawie. Oto cała historya.

— A nie wiadomo panu, czyją córką jest ten uroczy model pański?

— Tego dowiedzieć się nie mogłem. Właścicielka pensyonatu wręcz mi odmówiła podania nazwiska dziewczynki i szczegółów o rodzicach. Wiem tylko, że ma imię Wilhelmina.

— Więc to było przed rokiem?

— Tak panie.

— Czy owa dziewczynka jest jeszcze w tym pensyonacie?

— Nie mam pojęcia o tem.

— Mogę prosić o adres pensyonatu?

— Służę panu.

Pomówili o tem i o owem i wizyta była skończona. Malarz zabrał się do pędzli i marzył teraz o uroczym modelu, dyrektor poszedł przypatrywać się obrazowi, a Aleksandrowicz pospieszył na dworzec, by wrócić do Genui.

XIII.

Trzeba zerwać.

Conte Alfonso nie spieszył się z wyjazdem, chociaż co dnia powtarzał plan podróży do Grecyi i na Wschód. Elena nie mogła pojąć, co go właściwie powstrzymuje w Wenecyi, skoro sam uznał że niebezpieczeństwo się zbliża. Zastanawiało ją także, że hrabia mało przebywa w hotelu, znajdując ciągłe zajęcie w mieście. Był wprawdzie bardzo uprzejmy dla niej, zaniechał brutalnego cynizmu, posługiwał się czułemi wyrażeniami, ale Elena czuła w tem chłód, nieszczerość i udawanie Kobiety mają w tym względzie olbrzymią siłę instynktu. I znowu wyrosły w jej duszy ponure podejrzenia, znowu serce targało się zazdrością, znowu wracało przygnębienie, znowu walka ambicyi z namiętnością. Niebyło wprawdzie sporów, wymówek, ale niebyło ani szczerości, ani zadowolenia.

Raz popołudniu, przyniósł listonosz gazety i korespondencyę hrabiego do pokoju Eleny. Przyprowadziła go pokojowa.

— Proszę zanieść panu hrabiemu, do jego pokoju — rzekła Elena.

— Pan hrabia wyszedł — odpowiedziała pokojowa.

Elena odebrała pocztę i położyła od niechcenia na stole. Listowy wyszedł, pokojowa jeszcze została.

— Teraz cię nie potrzebuję, możesz odejść.

— Chciałam pani hrabinie powiedzieć, że pan hrabia poszedł nad morze, do kąpieli... a...

— Dobrze, dziękuję.

— A wychodząc zgubił na korytarzu ten bilecik, więc go odnoszę.

— Dziękuję. Połóż.

Dziewczyna wyszła a Elena rzuciła okiem na bilet. Był to kawałek kartonu, bez nazwiska i pod pisu, napisany kobiecą ręką. Były tam słowa: „Mój słodki rycerzu, czekam cię z upragnieniem. Bądź na tarasie, wynurzę się ku tobie z fali, jak Wenus z piany morskiej“.

Elena gorzko się zaśmiała. Śmiech spazmatyczny szaleńca zgrzytał w jej gardle i dławił. Spojrzała na przyniesioną korespondencyę. Był list tą samą kobiecą ręką pisany, wysłany z Wenecyi. Była za dumna, aby list dobywać z koperty. Wystarczyło jej pismo i bilecik przez pokojówkę wręczony.

Kilka chwil upłynęło jej w strasznej męce Otrząsła się, skupiła energię, ubrała się i wyszła na taras.

Wenecya żyje na Lido. Tu używa się kąpieli morskich, przechadzek nadbrzeżnych, albo z tarasu hotelowego spogląda się na morze i ruch nadbrzeżny. Stanąwszy na tarasie, rozglądała się Elena, czy nie ujrzy Alfonsa, wśród setek różnych osób. Dojrzała go, siedział za stolikiem przy winie i przez lornetę obserwował kąpiących się w morzu. Siadła zdala, aby jej nie dostrzegł, i nie spuszczała go z oka. Hrabia oderwał nagle lornetkę od oka, zapłacił i zbiegł prędko z tarasu, spiesząc nad brzeg ku kąpieli. Elena podążyła także ku frontowi tarasu, by mieć wciąż na oczach hrabiego. Z wody wynurzyła się piękna kobieta, pełna kokieteryi i lubieżnie uśmiechała się do hrabiego. On wziął z rąk służby płaszcz, okrył ją i pocałowawszy w rękę. ujął pod ramię. Poszli na przechadzkę nadbrzeżną, czuli, poufali, zadowoleni z siebie.

Elena dość miała tego widoku. Z uczuciem wstydu, upokorzenia, zazdrości, pogardy i nienawiści wróciła do pokoju. Hrabia był cynicznym, teraz stał się obłudnym, ale i w obłudzie bezczelnym Dopatrywała się w nim rycerskiej dzielności, a teraz dostrzegła, że to brutalstwo rabusia. I znowu snuje wspomnienia, które jej namiętność nasuwa, aby bronić obwinionego. Ale z tych wspomnień nie dobywa się już nic, coby miłość podtrzymowało, nic coby do przebaczenia skłonić mogło. Tem bardziej go nienawidzi, im bardziej wspomnienia przemawiają. Za to, że mu zaufała, że uległa namowie i ułatwiła mu zamordowanie męża, on zdradza ją bez skrupułu, bez osłony, jawnie, bezwstydnie, a jakby dla igraszki zbywa ją obłudną uprzejmością. Zerwać trzeba te węzły; zerwać je i oderwać się od niegodziwca. Tak! zerwać! A wspólność zbrodni tak ich sprzęgła, że tej wspólności nic chyba nie przetnie, nikt nie rozdzieli! I znowu wspomnienia ze Salita Santa Nicola kłębią się, cisną do głowy, duszą, dławią, dech zapierają. Przeklina godzinę, w której poznała hrabiego; przeklina słabość swoją, uległość, namiętność.

Wolałaby w tej chwili nie żyć! Tak ją męczyły te różnorodne uczucia, aż wyczerpana szamotaniem się z niemi usnęła. A we śnie snuły się jej widma. Trupia głowa barona Pettki ruszała się, toczyła się ku niej ze zgrzytem i pianą na ustach i z krwawą plamą. Poza nią chichotał szatan, z głową hrabiego Alfonsa, potrząsał sztyletem i ku niej wyciągał rękę. To znowu trumna czarna, prosta; trumna skazańców rozwarła się i posuwała ku niej.

XIV.

Bez maski.

Zbudziła się dopiero późnym wieczorem. Ledwie zdołała myśli pozbierać, wszedł hrabia i zbliżył się do niej z przymileniem.

— Precz odemnie — rzekła stanowczo i spojrzała na hrabiego z pogardą.

Conte Alfonso zdziwiony, nie przywykły do takiego tonu, zatrzymał się chwilę i przypatrzył bystro Elenie. Oczy miała zapadłe, twarz wybladłą, włosy w nieładzie. Cierpienia i umęczenie były widoczne, ale one nie interesowały hrabiego, nie doznał niepokoju, nawet prostej ciekawości, co się Elenie stało, jeno pomyślał sobie, że jej piękność zaczyna przekwitać, że może już wkrótce przeminąć zupełnie, że znikną te powaby i wdzięki, które przykuwały do siebie. W tej chwili był cynicznym samolubem. Ale wypadało coś przemówić, więc zapytał od niechcenia:

— Cóż się stało? czy znowu jakie urojenia?

— Urojenia! urojenia, powiadasz, obłudniku, przestań kłamać.

— O, widzę, że jesteś czemś rozgniewana.

— Cieszę się, że raczyłeś to zobaczyć.

— Ale czem? czem? — pytał pieszczotliwie i przysunął się do Eleny.

— Precz, proszę się nie zbliżać. Między nami wykopałeś przepaść, która na zawsze nas rozdzieli.

— Znowu jakaś zazdrość! — mówił z uśmiechem, siląc się na żartobliwość.

— To nie zazdrość, ale pogarda. Kłamco, obłudniku. Udawałeś miłość, zdołałeś uczynić niewolnicę swoją; widziałeś i wiedziałeś, żeś pierwszą moją miłością prawdziwą, wielką, płomienną. Teraz nikczemnie zdradzasz mnie, oszukujesz.

— Znowu jakieś podejrzenia!

— Nie, nie, widziałam, przekonałam się naocznie.

— A więc szpiegujesz mnie? — mówił sycząco conte Alfonso i na twarzy osiadła mu złość zjadliwa.

— To nie szpiegowanie, to była konieczność, to była potrzeba mojego serca, aby nabrać pewności, jaką jest miłość twoja, jaką szczerość twoja. Dość mi było obaw, niepokoju; wolałam najgorszą pewność, niż ten szarpiący serce niepokój. Tak, śledziłam cię i widziałam wszystko z tarasu.

— Ej, przecież to nie tak straszne rzeczy — chciał żartować Alfonso — gdybyś wiedziała wszystko, nie byłabyś tak zazdrosną.

— To nie zazdrość mój panie. Zazdrosną jest kobieta wtedy, gdy łzami i prośbami żebrze litości u męża, aby ją kochał; zazdrosną jest kobieta, gdy nie umie wyrzucić z serca miłości i nie chce opuścić tego, który zdradza. Ale nie proszę o nic, nie pragnę niczego, a przeciwnie i oświadczam, że ci zupełną zostawiam swobodę. Od tej chwili wszelkie węzły między nami zerwane. Jestem swobodną i chcę być swobodną i panu swobodę zostawiam. Rozdzielimy się na zawsze

Tyle było stanowczości, siły i energii w postawie i głosie Eleny, że hrabia zaniepokoił się bardzo. Przywykły do jej niewolniczej uległości, nie spodziewał się, aby Elena na taką stanowczość zdobyć się mogła. Opuścić Eleny nie mógł, boć ona była dlań jedyną dźwignią. Cóżby uczynił bez jej majątku, na który czychał? Znowu życie bez jutra, znowu polowanie za nową ofiarą, znowu walka o kęs chleba codziennego, zdobywanego szachrajstwem, połyskiem tytułu hrabskiego; znowu szukanie ustalenia swojej przyszłości, przez ożenienie. Nie, to nie możliwe, Eleny opuścić nie może! Więc uśmiecha się, sili na czułość i posuwa do Eleny.

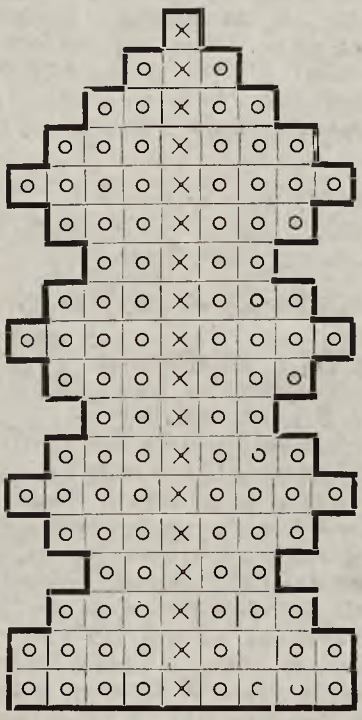
(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody

Kryptogryf.

Ułożył Alfred Rotter.

Gwiazdki i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko powieściopisarza polskiego autora »Bohaterów«.



Znaczenie wyrazów: Spółgłoska. 2 Praojciec rodu ludzkiego. 3 Góra i ółwysep w Azyi. Wyspa na morzu Śródziemnem. 5. Prowincya niemiecka 6. Półwysep w Indochinach. 7. Rzeka w królestwie Syamskim. 8. Były austryacki prezydent ministrów 9. Miejscowość w Rosyi zn na z pogromów żydów. 10 Port w Armenii 11. Państwo w Azyi. 12 Państwo w Afryce 13. Pseudonim poety polskiego. 14. Państwo w Azyi. 15 Zamek królów polskich. 16. Nazwa rabusia morskiego. 17. Mieszkańcy Kaukazu. 18. Port we Francyi.

ZAGADKA.

Ułożył Antoni Waranka, Kocmań.

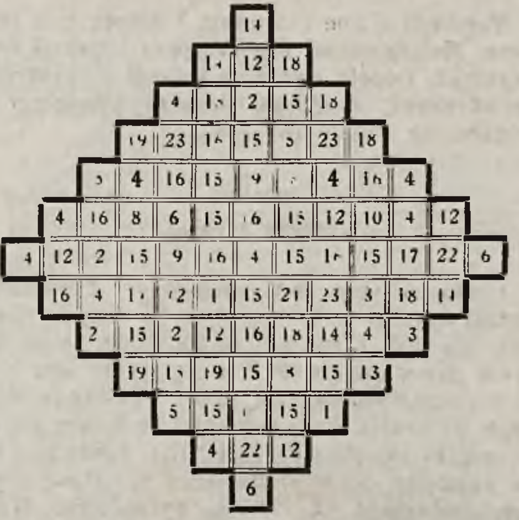
Z następujących zgłosek ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery z góry na dół, a końcowe z dołu do góry czytane, dają imię i nazwisko niedawno zmarłego poety włoskiego: ay, as, ar, buz, c, e, ci, du, er, ed, et, ją, joa, ki, ko, lau, li, lof, lnie, le, ma, uni, nie, na, na, naj, ody, pi, r, rd. sz, tr, to, u, ugu, wa, wiec, wai, za, zy.

Znaczenie wyrazów: 1. Zakon rycerski. 2. Nazwisko poety i dram tu g polski go. 3 Pospolita zwierzyna. 4. Rzeczpospolita w Ameryce pol dniowej i mia to na Węgrzech 5. Imię męskie. 6. Kwiat pielęgnowany w ogrodach 7. Zwierzę żyjące w Ameryce południowej. 8. Wulkan we Włoszech i miasto w Galicyi 9. Rodzaj młota. 10. Nazwa chodników w kopalniach. 11. Roślina. 12. Nazwisko wodza Kozaków. 13. Rzeka w Europie. 14. Kraina w Grecyi.

Arytmogryf

ułożył T. D.

Wszystkie cyfry zastąpić literami, a środkowe litery czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzą nazwę znanego przedsiębiorstwa.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak. 3. Przystanek kolejowy na Bukowinie. 4. Miasto w Indyach 5. Bandyta. 6. Dwa stany w Ameryce. 7. Znaczenie zagadki. 8. Miasto w Rosyi. 9. Morze w Azyi. 10 Miasto w Rumunii. 11. Imię męskie. 12. Hrabia japoński. 13. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek redakcya przeznacza jako nagrodę tort orzechowy z cukierni Piaseckiego w Krakowie

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Łamigłówka.

K. Bar, Cezar. tulipan, Tymon, lin, ara, Mazur, marsard, oliwa, ach, luk, Malta, świstek Kalakorum, Kozakiewicz.

Kazimierz Sichulski.

Zagadka.

N San, Babel, Dniestr. Kruszwica, Ameryka, Chomyszyn, Chał biński, I kaluzei Marya Mi chell, Lourdes Zoraaster, Królikowski, Jekaterynoburg, przemytnicy, Michał Balucki, Józef Kraszewski

Na bezrybiu i rak ryba.

Arytmogryf.

J, Bug, lilia Boliwia, Santa Cruz, Juliusz Fałat, Józef Adam, tarakan, wał k, sak, t

Juliusz Fałat.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Niepokój Krosno, J. Haladej Górki, K. Fuchs Czernelnców, A. Bogdalska Koropuż, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, T. Domaln Kołomyja, K. Ludwig Borysław, A. Batko Lwów, A. Rotter Stanisławów, S Gajdeczka Sieniawa, M. Świtlikowa Rzeszów, B. Ramultowa Jeżów, J. Łapecka Wiśniowa.

Nagrodę za dobre rozwiązanie zagadek otrzymała przez losowanie p. M. Switlikowa w Rzeszowie. Prosimy o nadesłanie 70 halerzy na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Jeszcze raz zwracamy uwagę naszych Szanownych Prenumeratorów, że tylko ci biorą udział w losowaniu, a więc względnie mogą otrzymać nagrodę i tych tylko nazwiska będą wydrukowane, którzy rozwiążą trafnie wszystkie w danym numerze umieszczone zagadki do nagrody.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Sanatoryum i zakład wodoleczniczy
specyalnych chorób nerwowych
Dra. KUPCZYKA
Kraków, ul. Szujskiego l. 11.
Kąpielę gazowe z kwasem węglowym (nauheimskie) - - Kąpiele wodoelektr.

Znana i polecana przez P. T. Lekarzy pracownia obuwia ortopedycznego, turystycznego i zwykłego L. Nowosada przeniesioną została z powodu rozszerzenia pracowni na ul. Sykstuskę l 26 Lwów. (11—14).

Łysymi są przeważnie tylko ci ludzie, którzy mało lub wcale nie zważają na rozpoczynające się, często zaledwie dające się zauważyć, jednak stale postępujące wypadanie swoich włosów. Najważniejszem jest, aby słabe podłoże uwłosienia, które jest właściwym powodem zaniku włosów, wcześnie i troskliwie pielęgnować, by je napowrót wzmocnić a co tylko przez zastosowanie znanego i bogatego w skutki środka da się osiągnąć. — Firma Willan Scot w Wiedniu I., Adlergasse 7. przesyła każdemu, po przesłaniu jej 20 halerów w markach pocztowych, na porto i opakowanie jedną gratysową — próbną dawkę światowej sławy środka na porost włosów Johna Craven Burleigh'a. Bliżej — patrz inserat dzisiejszego numeru tego tygodnika.

Kącik humorystyczny.

Troska kamienicznika.

Kamienicznik (do swego syna hulaki). Ależ chłopcze, prowadzisz tak hulaszcze życie, że już mi wytrzymać trudno. Teraz już po raz piąty zmuszony jestem przez ciebie podwyższyć wszystkim lokatorom czynsz.

Roztargniony.

Profesor X. odwiedza swego kolegę profesora Z. i zastaje go siedzącego na podłodze i pogrążonego w czytaniu. Obok niego leżał przewrócony fotel.

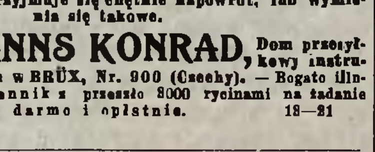
— Panie kolego — mówi profesor X. — co pan kolega robi na ziemi?

— Tak, tak... hm — mówi profesor Z. — Teraz dopiero przypominam sobie. Przed chwilą słyszałem, że coś upadło, a to pewnie był fotel, na którym siedziałem.



Franciszek Niewczyk
Pierwsza i jedyna polsko-katolicka fabryka
Instrumentów orkiestralnych smyczkowych i dętych
we Lwowie
ul. Czarnieckiego 10.
12—52 1—11 (1908)

SKRZYPCE DLA UCZNIÓW
wraz ze
smyczkiem i pudełkiem kompletne K 12·—



Skrzypce te prawdziwie czeskie, cieszące się sławą z powodu bardzo dobrej jakości, dostarcza się wraz z odpowiednim smyczkiem, futerałem drewnian., kalafonią, strunami rezerwowymi, podstawką i gwizdkiem głosowym po cenach następujących:

Nr. 124 Dobrze grające skrzypce, kompletne, jak wyż. opisane K 12.
„ 126 Lepsze skrzypce, z silnym dźwiękiem, kompletne . „ 14.
„ 128 „ „ eleg. lakier. z garnitur. heban. kompl. „ 16.
„ 130 Najstaranniej wykonane skrzypce, silnie i pełnodźwięczące, z garniturem hebanowym, kompletne . „ 20.

Zestawienia takie nadają się szczególnie na podarki dla początkujących i uczniów. — Opakowanie w drewnianej skrzynce 70 hal. Nieodpowiadające przyjmuje się chętnie napowrót, lub wymienia się takowe.

Przesyłka za zaliczką przez **HANNS KONRAD**, Dom przesyłkowy instrumentów muzycznych w BRÜX, Nr. 900 (Czechy). — Bogato ilustrowany polski cennik z przeszło 3000 rycinami na żądanie darmo i opłatnie. 13—21

Kupujcie tylko
moje zarejestrowane „ADLER-ROSKOPF“ patentowane kotwicowe remontoary K. 7.



Z bieżącym w kamieniach, pozłoconym, znakomicie uregulowanym werkiem i sekundnikiem K. 8.

Otrzymać można tylko w mojej firmie, a żadna inna firma nie może ich w handel wprowadzać.

Za każdy zegarek ścisła trzyletnia gwarancya. Gdy się nie podoba, pieniądze się zwraca Rozsyła za pobraniem pocztowem

Hanns Konrad
Pierwsza fabryka zegarków
w Brüx Nr. 1494
(Czechy)

Proszę żądać mojego polskiego 3000 wizerunków zawierającego katalogu za darmo i opłaconego.

CUKIERNIA
ADAMA PIASECKIEGO
w Krakowie, ul. Długa 10
Filia:
ulica Floryańska L. 2
Hotel Drezdeński Kraków
Poleca wielki wybór cukrów i czekoladek
Własny wyrób czekolady
»Krakowianka« mleczna czekolada i orzechowa.

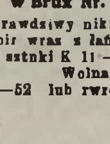
Nowość
Gramofon „Tonarm“
z tubą kwiatową, bardzo elegancki, ozdobą każdego mieszkania Koron 36.
10.000 płyt na składzie.
Na żądanie przesyłam odwrotnie cenniki i spisy płyt. 12—23
Również przyjmuję gramofony wszelkich systemów do naprawy.
Salo Mohr
Lwów, Rybia l, we własnym domu



DALMATYN tępi wszelkie owady i robactwo każdego gatunku
Niema lepszego środka nad wszędzie ulubiony **DALMATYN**
DALMATYNU można dostać w patentowanych dozach po 20. 30 i 50 halerzy.
Dmuchawka gumowa jest zbyteczną przy pojedynczym **DALMATYNIE**
Jest on tak prostym w użyciu, tak pewnem jest jego działanie, że wszystkie inne środki przewyższa.
Do otrzymania w handlach korzennych i drogueryach.
Główna wysyłka: **„STELLA“** Chemiczna fabryka Budapest, (D. Lederman) VII., Nefelejts-u 39.
Główny skład we Lwowie: Hallo & Hübner.



Zegar ścienny
bardzo pięknej roboty, z mechanizmem sprężynowym do nakręcania kluczykiem. Każdą zmianę powietrza wskazują figury: na pogodę występuje gospodyni, na niepogodę gospodarza. Cena tylko K. 6·70. Wysyłka za zaliczką.
KAPELLNER i HOLZER
Kraków, Dietlowska 68/c.
Ilustr. cenniki z przeszło 1000 wzorami zegarków wyrobów srebrnych i złotych oraz różnych nowości, na żądanie darmo i opłatnie.



Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato ilustrowany polski cennik zegarków, towarów złotych i srebrnych. (przeszło 1000 ilustracyi).
Hanns Konrad
PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW
w Brüx Nr. 1379 (Czechy).
Prawdziwy niklowy anker-remontoir wraz z łańcuszkiem K 4·—, 3 sztuki K 11·—. Żadne ryzyko. Wolna zamiana
8—52 lub zwrot pieniędzy.